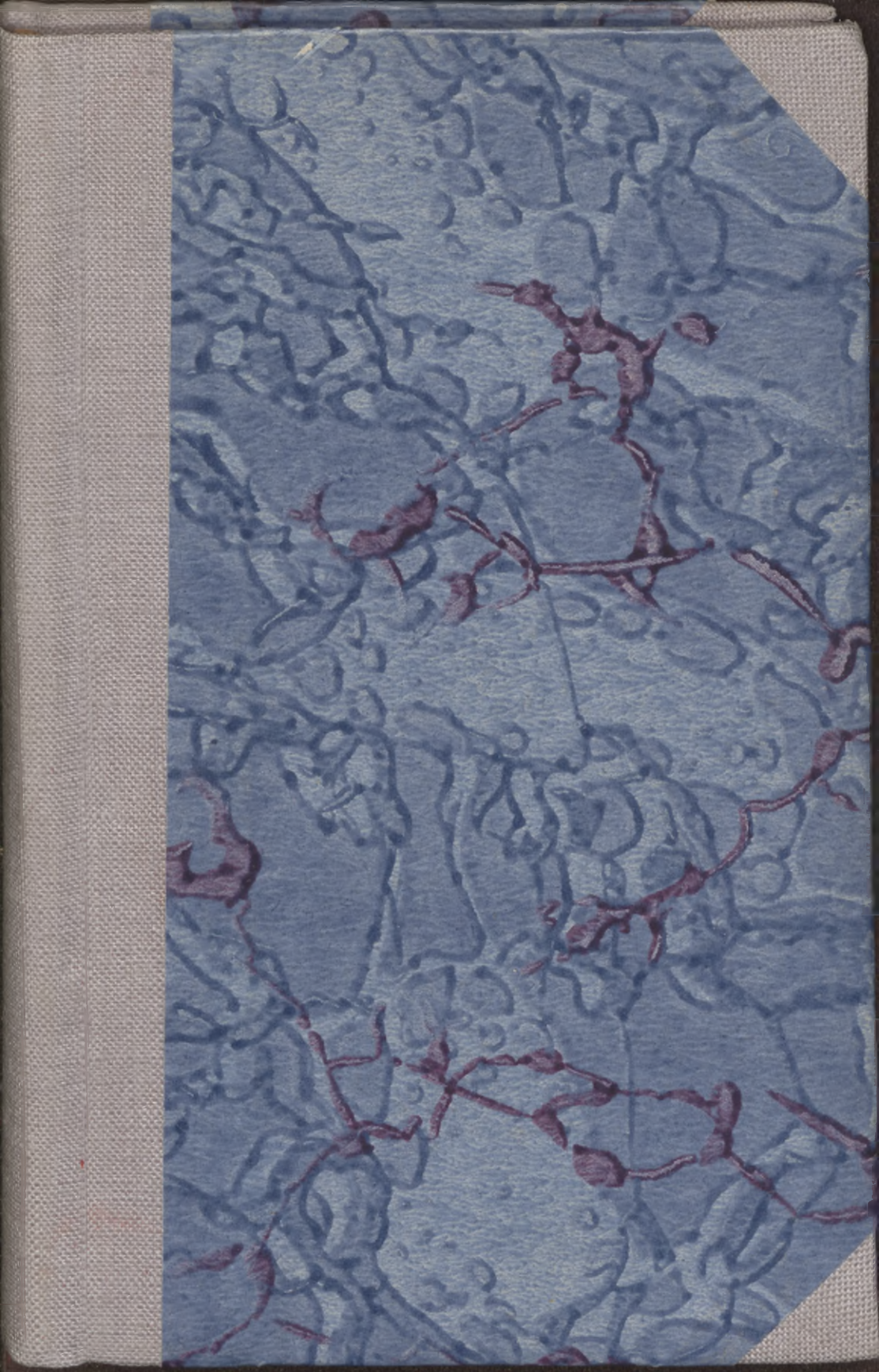

JULIUSZ SŁOWACKI

Fotograficzne zdjęcie z obrazu, znajdującego się w Muzeum ks. Lubomirskich we Lwowie).

MAKRYNA MIECZYSŁAWSKA

(Fotograficzne zdjęcie z obrazu, znajdującego się w Muzeum ks. Lubomirskich we Lwowie).

JULIUSZ SŁOWACKI

MAKRYNA MIECZYSŁAWSKA

WYDAŁ I OBJAŚNIŁ

Dr. Henryk Biegeleisen

Z portretami przełożonej klasztoru i poety.

LWÓW
NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO“
1902.

78915

Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“ WE LWOWIE.

WSTĘP.

MARJA
L. 87.
ŻEPKOWSKA

Od rozbioru Polski deptał samodzierca Rosyi, wbrew traktatem zaprzysiężonej wolności wyznania, prawa ludu obrządku unickiego. Dzieje tego prześladowania, przypominające okrucieństwa czasów Nerona, zapisane są krwawemi głoskami w pamięci narodu. Ale choć ciemiężcy wolnej myśli rozwinęli cały system pastwienia się nad bezbronnymi, nie zdołali jednak wyplenić z serc ich tego, co im było najdroższe — wiary ojców. Ucisk i katusze, zadawane unitom przez duchowieństwo schyzmatyckie i rząd, wyrabiały w nich obok uczuć ujemnych dodatnie, podnoszące poziom moralny ciemiężonych. „Za cenę długotrwałych i niezwykłych cierpień“ zwiększała się siła oporu przeciw tyranii, zdobywały się jednostki na iście bohaterskie czyny, a skronie poległych za swobodę myśli wieńczyła niejednokrotnie aureola męczeństwa.

Jako jeden z najskuteczniejszych środków zmoskwicenia krajów zabranych uważał rząd rosyjski zagładę kościołów. Aby dopiąć tego celu, rozpoczął od gwałtów i prześladowań na Litwie i Białorusi. Biskup Siemaszko — będący duszą tego przedsięwzięcia — zwołał w Połocku 1838 r. sobór duchownych, a ująwszy połowę obietnicami, drugą zaś zastraszywszy groźbą, zniewolił

ich do uchwały połączenia kościoła greckiego z cerkwią wschodnią, na co otrzymano zezwolenie cesarskie.

Protestujących przeciw gwałtownemu nawracaniu „uśmierzono siłą zbrojną“ lub skazano na Sybir, reszta wtrącona została do więzienia.

Jedna z zaszczytnych kart owej martyrologii należy się zakonnicom reguły św. Bazylego, narodowości polskiej, obrządku grecko-unickiego. Siostry te, w klasztorze mińskim nauczaniu dziatwy i opiece ubogich oddane, stojąc niezachwianie przy swej wierze, z bohaterską odwagą nadstawiały czoła przemocy barbarzyństwa. Słabe niewiasty, mniszki, śród wyszukanych męczarni, powolnej przez lat siedm śmierci, potrafiły zwyciężyć swoich gnębicieli i oprawców stałością ducha. A zwycięstwo to idei nad brutalnością uważano jakby zapowiedź zwycięstwa sprawy polskiej.

Opinia przychylnych nam narodów, do żywego wzruszona obrazem cierpień i stałości, w męczeństwie ich uczciła męczeństwo Polski całej i chórem zagrzmiały przeciw carowi głosy oburzenia i przekleństwa.

Dziennik narodowy, pismo emigracyjne wychodzące w Paryżu, podaje po raz pierwszy (w Nr. 234 z 27. września 1845 r.) bliższe szczegóły owego prześladowania Bazylianek, na podstawie opowiadania przełożonej ksieni Makryny Mieczysławskiej.

Ponieważ ze źródła tego czerpali opisujący krwawe dzieje tego męczeństwa, a Słowacki, czytując spółcześnie ów dziennik, zapamiętał sobie opowiadanie to z najdrobniejszymi szczegółami, przeto podaję zeń dosłownie wyjątki, o ile posłużyły poecie do osnowy jego pozgonnie wydanego utworu.

„W Mińsku był klasztor Bazylianek, składający się z 34 zakonnic. Już w r. 1837 biskup unicki Siemaszko,

po dokonaniu swej apostazyi, zaczął natarczywie nalegać na zakonnice, by przeszły na schyzmę, lecz ni namowy, ni groźby, ani lżenia nie skłoniły ich do odszczepieństwa. W lipcu tegoż roku Siemaszko zapowiedział im, iż daje trzy miesiące do namyślenia się, poczem jeżeli nie przejdą do wiary prawosławnej, czekają je straszne cierpienia i męczarnie.

Po trzech dniach atoli, rano, około godziny 5-ej, kiedy Siostry były zgromadzone w chórze na modlitwę, nagle klasztor został otoczony wojskiem, drzwi zaryglowane wyłamano i Siemaszko, wchodzący na czele urzędników i żandarmów, rozkazał im natychmiast wybierać się w drogę, nie pozwalając ani się przebrać, ani wziąć książek do nabożeństwa, ani nawet wstąpić do celi. Na prośby usilne zezwolił wejść do kościoła dla pomodlenia się i wzięcia krzyża.

Siostry padły krzyżem przed wielkim ołtarzem, prosiły Boga o wytrwałość; w czasie tej modlitwy jednej z nich serce pękło z boleści. Jeszcze się modliły, kiedy otoczono je żołnierstwem i kazano spiesznie wychodzić. Za miastem okuto je po dwie łańcuchami za ręce i nogi i pędzono do Witebska.

Tu oddano je na posługi do schyzmatyckiego monasteru, który zajmowały wdowy po żołnierzach, kobiety prowadzące najniemoralniejsze w obozach życie. U takich zakonnic przebyły nasze świątobliwe Siostry dwa lata najcięższej niewoli. Nie nazywając inaczej jak polskije sobaki (psy polskie) używano ich do najpodlejszych robót, do kopania rowów, przyczem skuwano po dwie, bito i lżono, pytając ciągle, czy chcą porzucić swą wiarę.

Po dwóch latach takowych męczarni przeniesiono wszystkie do Połocka. Tu innego rodzaju czekały je

katusze. Naprzód nie dawano im za całe pożywienie jak po pół śledzia na dzień, bez kropli wody. Z pragnienia i gorączki wiele Sióstr odchodziło od zmysłów, nadto ćwiczono rózgami, wyliczając po pięćdziesiąt razów. Przy egzekucyi był najczęściej sam Siemaszko, który lżąc zakonnice, a szczególniej przełożoną, pięściami bił w twarz i plwał w oczy. Jedna z Sióstr zmarła podczas bicia.

Gdy wszystkie te męczarnie nie mogły odwieść zakonnic od porzucenia wiary i owszem wzmacniały i utwierdzały w wytrwałości, oddano je do robót przy stawiającym się dla Siemaszki w Połocku pałacu. Razu jednego, kiedy wydobywały z głęboko już wykopanego dołu glinę, podkopana ziemia usunęła się i pięć ich przywaliła. Inne, oddane na posługi murarzom, znajdowały się na rusztowaniu, opartem na świeżym gzymsie; gzyms się oderwał, a rusztowanie waląc się z materyałami zabiło Siostry pracujące pod spodem, pięć robotnic straciły życie spadając. Jedna z Sióstr ciągnąc do góry ceber z wapnem, nie mogąc podołać, osłabiona, puściła sznur, a ceber spadając zabił ją na miejscu.

Apostata Siemaszko często je nawiedzał; to namawiał, prosił, zaklinał do porzucenia wiary, to znów lżył, plwał w twarz i bił. Razu jednego, gdy przybył, zwołał wszystkie zakonnice, wzywając je do cerkwi na kazanie. A gdy się Siostry opierały, kazał diakom i służbie gwałtem je pędzić. Katując popychano je ku cerkwi, na której dziedzińcu robotnicy obrabiali drzewo do budowy.

Przełożona kazała jednej z Sióstr zatoczyć kloc drzewa przede drzwi cerkwi, sama biorąc topór od robotnika, rozkazała przy klocu Siostrom uklęknąć. Poda-

jąc zaś topór Siemaszce w te do niego odezwała się słowa: „Byłeś naszym pasterzem, bądź teraz katem, my do cerkwi nie wejdziem!“ Apostata pieniąc się ze wściekłości, jedną ręką wytrąca jej topór, a drugą z całej siły uderza w twarz.

Przełożona czując coś na języku, wydobywa ząb wybity i pokazując mu go rzekła: „Tyle cię cesarz orderami ozdobił, tyle na tobie błyszczy kamieni, zawieś jeszcze i ten ząb, będzie on największą twoją ozdobą“. Znowu ją Apostata uderzył — sam od złości osłabł i bełkocąc coś słaniał się.

W wynajdywaniu męczarń i zniewag chwycono się raz tej: Puszczono na zakonnice bandę spitych żołdaków, którzy nie mogąc na broniących się zaspokoić swych zwierzęcych chuci, rozjuszeni, do wściekłości doprowadzeni oporem, podrapali je, pokaleczyli, pogryźli uszy i nosy, oczy powyłupiali. Tak okaleczałe i gwałcone zakonnice umierały z ran i cierpień. Po dwóch latach i trzech miesiącach pobytu swego w Połocku, zostało ich tylko 23 z 53.

Pozostałe popędzono do Miedzioł i znowu oddano na posługi do klasztoru żeńskiego schyzmatyków. Tu, do zwykłych, uprzednich katuszy, dodano jeszcze jedną: pławienie. Miedzioły leżą nad jeziorem. Oblekano zakonnice w długie koszule, przywiązywano ręce; dwóch diakow i człowiek robiący wiosłem siadali do łódki, zawiązywali postronki do szyj zakonnic i ciągnęli do wody. Stojący na brzegu urzędnicy i popi pytali się ciągle, czy chcą przejść na schyzmę, po odebranej odpowiedzi przeczącej, ciągniono je aż do zanurzenia. Wyciągano potem i taczano je na prześcieradłach dla wylania wody zewnątrz i przywołania do życia. Opera-

cya ta trwała zwykle do dwóch godzin, trzy Siostry zostały tym sposobem zalane.

W Miedziołach bawiły Siostry lat dwa i tyleż miesięcy, poczem miano je gnać do Tobolska. Jedna szczęśliwa okoliczność posłużyła czterem z nich do ucieczki, w liczbie których znajduje się przełożona. W dzień imienia archireja, on sam, zakonnice i służba spili się wszyscy do tego stopnia, że spali jak nieżywi. Siostry, które mogły, korzystając z tego, uciekły, inne musiały pozostać, gdyż tak były okaleczałe, że chodzić nie mogły. Przełożona, Siostra Mieczysławska, dostała się do Paryża, skąd po wypoczynku udała się do Rzymu. — Co do księży Bazylianów, tych część zamęczono, trzech: Bierzyńskiego, Żylińskiego i Żylewicza zmrożono zimą pod pompą, jednego: Zarzeckiego zabił diak uderzywszy polanem w głowę."

Po przedstawieniu tego krwawego obrazu, dodaje redakcya Dziennika: Każde prawdziwie polskie serce zadrzy od zgrozy na widok tylu zniewag i męczarni dokonywanych na naszych braciach i siostrach. O Boże! wlej w serce narodu polskiego świętą zemstę, aby odtąd stanął w obliczu całego świata nie jako męczennik, ale jako bohater-zwycięzca, który karzy znieważających święte ołtarze i gwałcących największe dobro człowieka, jego sumienie.

Opowiadanie to o okrucieństwach moskiewskich, powtórzone przez dzienniki zagranicą, wywołało z jednej strony oburzenie miotane w twarz oprawców, z drugiej najserdeczniejsze współczucie dla ofiar, a nawet czynne tych uczuć manifestacye.

Daje temu wyraz adres młodzieży francuskiej, wręczony ks. A. Czartoryskiemu, jako przedstawicielowi Polaków na emigracyi, a protestujący w imieniu sprawie-

dliwości przeciw gwałtom, w imieniu wolności religijnej przeciwko despotyzmowi, depcącemu tak prawa sumienia jak narodów, przeciw zniewadze, zadanej wspólnej wierze i najświętszym ideałom ludzkości.

Silniejsze wrażenie sprawiła protestacya O'Connella w parlamencie angielskim przeciw tyranom dopuszczającym się tak srogich i podłych zniewag na czcigodnych niewiastach. Byłoby — są jego słowa — nieuczciwością dla chrześcijan Europy zostawić bez publicznego objawienia zgrozy całego chrześcijaństwa przeciwko potworowi rosyjskiemu i godnym jego siepaczom, dopomagającym do popełnienia podobnych bezeceństw. Wyrok opinii publicznej potępia cara Mikołaja najuroczyściej przez wzgląd na moralność, przez wzgląd na ludzkość i wolność.

Nigdy opinia publiczna Europy — powiada jeden z dzienników emigracyjnych — nie była tyle wzruszona. Oburzenie jest powszechne. Opowiadanie ksieni przejęło zgrozą wszystkie serca. Po kościołach i zakonach modlą się za uproszenie u Boga miłosierdzia dla Polski, w dziennikarstwie złorzeczą jej katom, w parlamentach interpelują ministrów, lub składają życzenia w adresach do panujących, aby ci, na mocy prawa narodów i traktatów, upomnieli się o pogwałcenie praw ludzkości.

I podczas kiedy rząd moskiewski, uwiązany u pręgierza opinii publicznej, stał pohańbiony i z całą swą potęgą, upokorzony, Polska przezeń zgnieciona i poniżona, stanęła wśród ludów na świeczniku i jak hostya ofiarna przyświeca cierpieniem i stałością. —

Wprawdzie rząd rosyjski ogłosił dwa urzędowe zaprzeczenia faktu i nawet istnienia klasztoru Bazylianów w Mińsku (w Dzienniku frankfurckim 1845 i 1846 r.) ale zaprotestowali przeciw temu Polacy: Chodźko

i dr. Hłuszniewicz w pismach francuskich, a poseł francuski Rossi, przenikliwy dyplomata, po przeczytaniu not Boutenieffa, zaprzeczających opowiadaniu Makryny, miał powiedzieć: „Wątpiłem dotychczas o prawdziwości zeznań Makryny, ale obecnie zaczynam im wierzyć.“

Kluczem do zrozumienia utworu Juliusza są własne opowiadania naszej ksieni Makryny. (Błędnie figuruje na tytule poematu znane to z kalendarza greckiego imię jako Mokryna, skąd błąd ten wkradł się do historyi literatury). Dzieje jej siedmioletniego prześladowania od 1838 do 1845 r., z ustnych zeznań wobec niej protokolarnie spisane przez duchownych z propagandy rzymskiej: ks. Ryłłę, Jełowickiego i Leitnera, zostały pod koniec 1845 r. ogłoszone drukiem, a kilkakrotnie wydawane i tłómaczone rozeszły się z początkiem 1846 r. w pięciu językach: polskim, hiszpańskim, angielskim, francuskim i niemieckim po całej Europie. Z tego dziełka, zgodnego z przytoczoną relacyą w Dzienniku narodowym, korzystał Słowacki w swym poemacie w prawdziwie artystyczny sposób. Czerpał stąd — jak poznamy — nagie fakta, przepuszczając je przez pryzmat swej brylantowym blaskiem lśniącej fantazyi.

Przypatrzmy się bliżej owemu przetapianiu rudy wspomnień na czyste złoto poezyi. W ślad za swojem źródłem rozpoczyna Słowacki poemat zmianą wiary archireja, którego imię raz tylko i ubocznie wymienia.

Przejście Siemaszki na schyzmę opowiada sucho pamiętnik Mieczysławskiej, podnosząc z naciskiem, że jego bluźnienie Kościołowi rzym.-katolickiemu i regule św. Bazylego „zadziwiło“ wierne swej religii zakonnice. To zdziwienie spotęgował poeta do stanu przerażenia.

Usuwając teologicznie zaostrzone przeciwstawienie „błędów“ nauki prawosławnej z światłem „prawdziwej“ wiary, maluje zgrozę mniszek w iście Rembrandowskim obrazie wieczornego nabożeństwa.

Trzykrotne na piśmie wezwanie biskupa, ażeby Bazylianki przeszły na wiarę grecką i odmowę ich na tem wezwaniu podpisu, opuścił poeta jako rzecz urzędową, biurokratyczną. Zadowolił się jeno odczytaniem trupio bladych „przepisów rządowych.“

Pierwszą rozmowę biskupa z ksienią zmienił zupełnie. Ową zawziętość i wściekłość prześladowcy, występującą w Pamiętniku prawie bez umotywowania i w zbyt rażących kolorach, podniósł na wyżyny sztuki przez t. zw. stopniowanie poetyckie. Chytry biskup zaczyna tu od słodkich słówek namowy, nieraz trafiających do przekonania, żniża się do tajemnej prośby, szeptanej na ucho Makrynie, obiecuje wyjednać dla niej mitrę. Ale gdy środki te odbiły się o kamienną stałość jej przekonań, uderzył w „inny ton“. A i wtenczas jeszcze „nisko kołpaka pokłoni“ i zapowie tylko, że będzie „tu miała ambaras“, kiedy w opowiadaniu Mieczysławskiej przychodzi od razu do starcia między nią a biskupem, kończy się zaś prostackiem łajaniem.

Jak głuche wieści o przejściu biskupa na wiarę wschodnią podniósł poeta przestrachem mniszek i odprawieniem w nocy nabożeństwa, tak skutki rozkazu cesarskiego: „odmienić wiarę lub się wybrać w drogę“ (w Pamiętniku mają do wyboru między dostatkami uświetnionymi łaską cesarską, skoro przejdą na prawosławie, a między Sybirem i katorgą, jeżeli trwać będą w swym „uporze“) spotęgował poeta „ciemnością“ wiejącą z „rządowego papieru“ na strwożone i nieświadome, co się z niemi stanie, mniszki.

W opowiadaniu matki Makryny ukaz ten, przez usta Siemaszki ogłoszony, brzmi wprawdzie zapowiedzią „czegoś najokropniejszego“, ale potem wręcz wymieniono kary, jakie je czekają. Najsroższe jednak — wypowiada ta bohaterka poematu — katusze, byle „jasne i widome“, nie przejmują duszy takiem przerażeniem, jak widmo zgrozy, nieme a strasznych tajemnic pełne.

We wspomnieniach Mieczysławskiej, z których czerpał Słowacki, zniża się ksieni do kłótliwej, prostackiej, lubo zawsze śmiałej i nieulęknionej kobiety. W rozmowie z „odstępcą“, wyrzuca mu „szkaradne kłamstwa“ i miota w twarz przezwiskiem „skierdzia“ (to jest świniarza).

Twórca „Ojca Zadżumionych“ uszlachetnił swój model i podniósł go na piedestał. Makryna Słowackiego, lubo kobieta „prosta“, hamuje namiętne porywy uczuć, aby nie dać się porwać „zapału pokusie“. Nie łaje, nie przezywa, na widok wilka szarpiącego jej owieczki, jeno odpowiada milczeniem zimnem, głuchem, ale jak mur silnem i spokojnem.

Wręcz przeciwnie obniżył poeta poziom moralny Siemaszki. Wedle opowiadania, spisanego wobec ksieni Bazylianek, biskup, nalegając na zmianę ich wiary, nie czekał trzech miesięcy czasu, danych im do namysłu, lecz już trzeciego dnia wtargnął z siłą zbrojną do klasztoru i grożąc, że „rózgami ściągnie z nich skórę rodzimą“, „szkalował je strasznie“. Z pianą na ustach „wyźwierzając się“ na ksienię, krzyczał: „*Ty psia krew polska*, ja ci język z gardła wydrę“. Widząc zaś bezowocność swych łajań i gróźb, dał rozkaz żołnierzom: „wygnać, precz“ uparte mniszki.

W utworze Słowackiego nie zapala się od razu apostata, lecz zanim wyrzuci ze swej paszczęki błoto

przekleństw: „wy buntownice, *suki*, *polskie* duchy“, zapyta wpierw łagodnie swoje *„drogie* siostry“: czy chcą przejść na świętą wiarę prawosławną. Nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzy „jeszcze słodszym głosem — z umizgiem na pół błagań i wyrzutów — która z nich łaską cesarską pogardzi i świetnym losem, a weźmie....“ Tu nie domówił, lecz pogroził knutem.

Na obelgi i wściekłe miotanie się przełożonego odpowiadają mniszki Słowackiego milczeniem, co prześladowcę do rozpaczy doprowadza. W opowiadaniu Mieczysławskiej zachowują się one równie stanowczo, lubo nie zostają dłużne odpowiedzi.

Tu i tam opuszczają kościół, pod eskortą żołdactwa, z krzyżem Zbawiciela, ale jaka różnica tego samego wypadku! — Przymusowy ten wymarsz okupiła jedna z towarzyszek śmiercią. „Serce jej pękło — opowiada w pamiętniku Mieczysławska — z miłości i boleści razem. A liczyła wieku lat 57, od 30 lat już w zakonie. Nazywała się Rozalia Lauszecka“. W poemacie zgon owej „staruszki dobrej i prostej, paraliżem tkniętej“ rzucony na ponure tło sceny klasztornej, urasta do wspaniałego pomnika boleści i zgrozy.

Wymarsz z Mińska do Witebska zakonnic, skutych w łańcuchy, w otoczeniu bagnetów, ożywia poeta motywami wyjścia z trupem owej staruszki oraz lżenia i bicia kolbą przełożonej przez rozjuszonych żołnierzy.

Samo zaś przepędzenie do Witebska urozmaica szczegółem zaczerpniętym z późniejszej podróży do Miadzioł. „Na promie, którym nas przez Dźwinę przewieziono — opowiadała Mieczysławska — protopop Iwan Wierowkin w około nas biegał niespokojny, pilnując, żeby która z nas w Dźwinę nie skoczyła. Co widząc siostra Wawrzecka rzekła do niego: Jakiś ty

głupi! czyż Dźwina to niebo, żebyśmy w nią skoczyć miały?“ Poeta protopopa przemienił w biskupa Siemaszkę, rolę Wawrzeckiej przydzielił Makrynie, a wkładając rzecz całą w usta pierwszych osób poematu, epizod ten ściślej spoił z głównym wątkiem.

Po przybyciu do Witebska osadzono nasze zakonnice w klasztorze schyzmatyckim. Zgodnie z opisem Mieczysławskiej, przedstawia i nasz poeta ten „klasztor ciemny, pijacki“, cuchnący od „łoju, skóry i gorzałki“ jako żywe piekło. Czernice tu przebywające, „najwięcej żołnierskie wdowy“, wyglądają w świetle pamiętnika jako bezecne baby, a u Słowackiego słyszysz nadomiar ich skomlenie, podczas smagania pałką, oraz „klask pocałunków na katowskie ręce“.

Zostając pod dozorem takowych „czernic“, skazane były nasze mniszki, jak podaje Mieczysławska — do najtwardszych posług. Ze wschodem słońca trzeba już było drzew nadźwigać, w piecach porozpalać, wody naciągnąć i poroznosić, izby posprzątać. Od szóstej pędzono do robót ciężkich — kazano bić i gruzy taczkami wozić. Przytem morzono głodem, smagano rózgami. Mnie — dodaje przełożona — z ośmiu Siostrami wtrącono do ciemnego i wilgotnego lochu, „nie dając ni chleba ni wody“. — A jednak nie zdołano takowemi męczarniami ciała osłabić ducha męczennic.

Poetyczniej i silniej wyraża to samo autor Zadżumionych, wkładając w usta przełożonej opowiadanie, jak jej gnębiciele „pokarmu zwykłego ujeli, jak obrócono im ręce do mularki, a grzbiety pod kamień i chłostę“. W celu zaś uwydatnienia siły tego męczeństwa dodaje, że kiedy głodem trapione żołądki aż z bolu krzyczały, duchy męczenniczek „rosły i potężniały“.

Męki zakonnic, żywiących się w więzieniu „strawą krów i wieprzów“ (u Słowackiego gliną), potęguje poeta następującym szczegółem, wziętym z przymusowego pobytu mniszek w Spasie, o parę lat późniejszego (1843 r.). Siemaszko — czytamy w opowiadaniu Makryny — rozkazał nas zamknąć w więzieniu na sześć dni i karmić śledziami, bez chleba i wody. (W utworze Słowackiego: „dawano nam bez wody śledzie“). Ogień nadzwyczajny palił stąd wnętrzności i usta nasze tak, że skóra z języka i podniebienia spadała. — Ale nas napoiło pragnienie Chrystusa Pana na krzyżu...

Groze położenia gnębionych mniszek tu i ówdzie ozłacają promienie humorystyki — prostej a rzewnej — przypominającej żarty młodzieży w trzeciej części „Dziadów“. Jak Zanowi, więzionemu w klasztorze ks. Bazylianów w Wilnie, „powiew zdrowy robi zawrót głowy“, bo skoro tylko „łyknie powietrza, wnet się podchmieli“, podobnie nasze mniszki, gdy z lochu, po wieczornym głodzie, wyszły na słońce, tak się duchem bożym rozpoiły — jak winem.

Ucisk gnębicieli i siłę ducha ofiar uwydatniają w powieści poetyckiej zdarzenia zaszłe przy innej sposobności. — A mianowicie przy pracy około budowy pałacu dla Siemaszki (1841 r.) zginęły trzy Siostry. „Zabite przez cebry ogromne, napełnione wapnem, które jedna tylko Siostra naraz musiała ciągnąć, słabiejąc w tej okrutnej pracy, wypuszczały z rąk windę, a cebry spadały im na głowę“. — Przy kończeniu trzeciego piętra „mur górny zwalił się na rusztowanie i wraz z niem i Siostrami zgruchotanemi przywalił Siostry pod rusztowaniem pracujące“.

W poemacie Słowackiego spadają dwie Siostry z rusztowania, a jedną przywalił kamień „ze sznura

lecąc jako młyn okropny z góry". Zmniejszoną liczbę zabitych równoważy opust purpurowej strugi krwi, broczącej „białości wapienne".

Stałość hardych dusz miał przełamać sam biskup Siemaszko, gdy przybywszy właśnie pod on czas (1839) święcić kościół OO. Bazylianów, przekabacony na cerkiew prawosławną, chciał zniewolić nasze zakonnice, aby do tej roboty przyłożyły rękę. Usiłowania te biskupa oddane wiernie w poemacie.

Gdy nas spędzono do cerkwi — czytamy we Wspomnieniach Makryny — i gdy do krwi zbite, dochodziłyśmy już do cerkwi, zawołałam: „Siostry, w imię Chrystusa nieśmy nasze głowy pod miecze. Siemaszko stał u progu cerkwi, ja zaś skoczyłam do cieśli i chwyciwszy odeń topór do drzwi cerkwi poskoczyłam. (W poemacie ujrzała ona topór — pod klocem.) Wszystkie Siostry padły na kolana i ja na kolanach będąc, wołałam do Siemaszki głosem wielkim: „Oto masz topór, weź go, ścinaj głowy nasze, rzuć je w cerkiew twoją". Siemaszko wytrącił mi topór, który przelatując ranił mocno w nogę jedną z Sióstr naszych (u Słowackiego samą Mieczysławską). Potem policzkując mię okrutnie wybił ząb jeden, który ja z ust wyjąwszy ofiarowałam Siemaszce mówiąc: „Weź ten ząb na pamiątkę twego czynu, wsadź go między ordery przykrywające twoje kamienne serce". (W poemacie: Ząb mu podałam wybity, i rzekłam: Zawieś to między twe wszystkie ordery!)

Scena ta w poetyckiej transkrypcyi robi silne wrażenie wypukłem przedstawieniem sytuacyi. Oto wiodą siostrzyczki do cerkwi „z nienacka", nie rzucają się na nie z drągami, ale prowadzą trzęsące się „od zimna, trwożne". Przełożona daje znak, owieczkom jej tylko zrozumiały, aby gotowe były ponieść śmierć z ręki

kata-pasterza. Wszystkie, ślepo jej posłuszne, padają na ziemię, kładą głowy na klocu i patrzą na jej skinienie — obraz z homerowską plastyką rzeźbiony.

A teraz przeciwstawienie wroga z równą wypukłością oddane: Biskup ze złości wściekły, porwał żelazo, rękę wzniósł, i tak zacisnął, że zlodowaciała. Z pianą na ustach „toporem koło kłęba cisnął i nogi skroił kawała".

Dla głębszego uzasadnienia prześladowań biskupa przytacza poeta szczegół, zapisany w Pamiętnikach przy scenie mąk w Miedziołach. Oto „dwie Moskiewki lepszego serca" (u poety „Witebszczanie, czy jakieś ruskie panie"), „widząc okrutne obchodzenie się z nami, nie mogły znieść takiego barbarzyństwa i wyjechały mówiąc popowi: Tu nie monaster, ale Sybir". (Słowami mistrza: to nie klasztor, ale dom katorżny.)

Najokropniejszą jednak zbrodnię popełniono na zakonnicach w więzieniu połockiem, gdzie je po dwuletniej (1838—1840) niewoli w Witebsku, przez dalsze trzy lata (od 1840—1843) dręczono. „Zbrodni tej — jak odsłaniają Pamiętniki matki Makryny — dopełnił biskup Siemaszko wśród biesiady z popami i czernicami, przykazując służbie kościelnej, aby się rzuciła dla najpodlejszego nas znieważenia... O! co to za okropna była godzina! Wpadli na nas jakby wściekli, rwania, kąsania, bicia, tratowania, nie policzyć. Każda z nas cisnęła się do ziemi, jęcząc i błagając, aby się ziemia pod nami otworzyła i od sromoty śmiercią obroniła... W jednej chwili ziemia krwią zapłynęła. Dwie z nas roztratowano na śmierć, twarze ich rozdarto w szmaty, ośmiu wyłupiono oczy, a wszystkie były najokropniej poranione"...

Z wątku tego opowiadania zplótł wielki poeta cierniowy wieniec katuszy, rzucając go na tło piekielnego zamętu, przedśmiertnych jęków i rozbestwienia oprawców tarzających się w moralnym błocie.

... z dalszego wątka
Powieści ledwo mogłem pomięszany
Spamiętać tylko jakieś straszne rany,
Które poniosły w brudzie niewinniątka
(rzucone między spite żołdactwo i diaki).
Te głowy, z których twarze pozrywane,
Wybite pięści biskupiej pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowane,
Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte.
Oczy, gdzieś w błocie świecące i słomie,
Ze krwi wystają niby niezabudki,
A ciała — ciała jak bez kształtu kłódki,
Tarzały sobą jęczące po domie.
Wiele nas padło pod biczem i płazem,
Dziesięć zostało bez ludzkiego lica...

Po owym dniu sromoty usiłowano napróżno dalszemi męczarniami zmusić zakonnice do odstępstwa — Pod koniec wiosny 1843 r. (u Słowackiego pod jesień) przepędzono je do Miadzioł (w poemacie przezwanych Dziedziołami), miasteczka gubernii mińskiej. Umieszczono je znów w klasztorze ruskim, gdzie im następujące wymyślono katusze. Oto kazano na ochłodzenie krwi polskiej topić w jeziorze, nad którem leży owe miasteczko.

Było to w r. 1843 — powtarzamy tu opowiadanie ksieni Bazylianek — przybrano nas w koszule z warowiny, z jednym tylko zaszytym rękawem na obie ręce, iżby nie można było władnąć niemi; grube powrozy nałożono na szyje nasze i tak pognano nas do

jeziora. Tu czekały nas czółna. Zasiedli na nich oprawcy, a każdy z nich ciągnął jedną z nas za sobą, na powrozie, do wody, za czółnami, które odpływały.

Wprowadzono nas w wodę po pas i powróz namokły dusił nam szyję, a oprawcy krzyczą: „Przyjmijcie wiarę, bo jak szczenięta potopimy". „Nie odstąpim Chrystusa — odpowiadałyśmy — a ty djable top". I znowu dalej ciągniono nas w wodę aż po same usta.

Pławienie to mniszek — niby czarownic — zgodnie z opowiadaniem Mieczysławskiej, podnosi poeta prześlicznym obrazem jeziora, jako odpowiedniem tłem do nowego rodzaju męczarni, niemniej krzykiem popów w ich języku, (pastoj! albo tiahni!), głównie zaś przez refleks, jaki ów piekielny wymysł katów rzuca na otoczenie.

Niewolę w Miadziołach potęguje opis męczarń innych zakonnic obrządku unickiego, („jak my takie same") wyzutych ze wszystkiego przez czernice ruskie a przeznaczonych również do najniższych posług.

Poeta wciągnął do swego obrazu opis potwornie pokaleczonych księży Bazylianów („pięciu mnichów, biedniejszych od nas"), których „część zamęczono a część zmrożono pod pompą". Dowiedział się zaś o ich okrutnem prześladowaniu za wiarę z przywiedzionego Dziennika narodowego.

Zgodnie z opowiadaniem matki Makryny, spisanem przez ks. Jełowickiego, uwydatnia Słowacki jako jeden z ostatnich motywów męczarni: współczucie żydostwa. „Gdyby nie żydzi — opowiada ksieni — byłybyśmy może pomarły z głodu. Żydostwo towarzyszyło nam z płaczem, z litości ciskając obwarzanki pod nogi nasze. Jedna śmielsza żydówka zarzuciła na szyję je-

dnej z nas wielki sznur obwarzanków i ten tylko doniosłyśmy do więzienia. Woda się z nas lała, ziemia, na której leżałyśmy, stawała się błotem, od którego gniły poranione członki nasze. W takowej kąpieli dwie zatonęły. Na ten widok jak gdyby sądny dzień powstał między żydami, którzy wielce miłosiernymi w tym i podobnych razach nam się okazali.“ Obraz pławby, błotnisk i owej żydówki „obwarzankami złotymi świecącej“, jakkolwiek na podstawie przytoczonego szkicu odmalowany, jaśnieje tęczowemi poezyi farbami.

Ostatnie chwile niewoli, opisane również wiernie podług opowiadań Mieczysławskiej, mają na celu uwydatnić duchowe siły fizycznie zamęczanych Polek. Ze szczegółu, przywiedzionego w opisie męczarń w monasterze połockim, że jedna poczciwa czernica przyniosła wygłodzonym towarzyszkom trochę surowego grochu, tudzież z wiadomości podanej przy końcu tegoż opisu, że dręczone niemiłosiernie Bazylianki „ani jedzą ani piją a zdrowe są i tłuste“, skorzystał poeta w gastronomicznym obrazku, przedstawiając ksienię przy kuchni, w towarzystwie Euzebii Wawrzeckiej, drugiej bohaterki w owej pamiętnej martyrologii polskiej: Wyglądały dobrze, — powiada Słowacki — bo „utyły na suchej grochówce“...

Z liczby 61 Polek, które życiem lub zdrowiem opłaciły siedmioletnie za wiarę prześladowanie, jedna część padła ofiarą wygnania z Mińska lub więzienia w Witebsku, druga przez męki w Połocku, trzecią wreszcie dobiła Miadziołska katorga (od 1843—1845). Pozostałe cztery Bazylianki — o ile na to pozwalały sterane ich siły — postanowiły ratować się ucieczką.

Cel tego śmiałego przedsięwzięcia podają Pamiętniki ksieni w tych oto słowach: Aby choć jedna

z nas mogła u nóg Ojca św. złożyć jęk i płacz ludu naszego, męczonego za wiarę, zapędzonego na lody Sybirskie lub pomordowanego okrutnie.

...Chciałabym się już dostać do Rzymu...
Aby świat wiedział, skąd idę, gdzie byłam,
Jaka swawola w popach wyuzdana
I jak katują wierne sługi Pana.

Nadarzyła się ku temu — są słowa przełożonej klasztoru — zręczność, gdy z powodu imienin protopopa wszyscy popi, diaki, czernice, upiwszy się, spali jak zabici w nocy z 31. marca na 1. kwietnia 1845 („cała ciżba popów, czernic pijana, padła snem ciężkim ujęta jak ołowiem"), a pomocną była owa czernica ruska, która ukradkiem przyniosła trochę grochu. Rozbiwszy pęta nasze — tak opowiadała dalej Makryna — wybrałyśmy kłodę sękowatą, którą w nocy przystawiłyśmy do muru. Ja pierwsza wyszłam po sękach na mur („wylazłszy po drzewach na mur"), spojrzałam w dół: jak z trzeciego piętra! Przeżegnałam się i w imię Boga skoczyłam na ziemię. Za mną puściła się Euzebia Wawrzecka, potem Klotylda Konarska, w końcu Irena Pomarnacka. „Prędkie skoczyłyśmy — podaje poeta — aż na dół z góry — bośmy z trzeciego aż piętra upadły". Otrząsnąwszy się ze śniegu — opowiada dalej Mieczysławska — puściłyśmy się każda z osobna ku granicy, ażeby nas nie tak łatwo schwytano.

Śnieg otrzepawszy z odzieży jak pierze,
Każdaśmy poszły szybko w inną stronę,
Myśląc iż gonią popy i żołnierze.

„Błąkałam się około trzech miesięcy po puszczach o głodzie, pragnieniu, w zimnie — ścigana, chwytana i zawsze bezpieczna przez Opatrzność boską, dostałam się nakoniec do granicy pruskiej, a stamtąd przez Francyę przybyłam do Rzymu“. Sytuacye te, z lekka tylko naszkicowane, rozprowadza twórca Zadżumionych w kilku wspaniałych obrazach ucieczki i samodzielnie pomyślanych przygód pogoni.

Krwawy epizod „Męczeństwa Siostry Ireny Makryny Mieczysławskiej i jej towarzyszek“ opisuje zgodnie z poematem Słowackiego rękopis bibl. Jagiellońskiej l. inw. 3666. temi słowy, włożonemi przez poetę w usta ksieni: „Na drugi dzień po ucieczce Mieczysławska, idąc z utrudnieniem uboczną drogą, spotkała kilku ludzi wysłanych w pogoń za niemi. („Popy biegają po wszystkich siołach i rozsyłają po drogach opryszki łowić ubiegłe trzy Polaczki mniszki.“) Lecz Pan Bóg pozwolił, iż uszła wszelkiemu podejrzeniu, dostawszy się w las; w obawie jednakże dalszych poszukiwań, cztery dni tam spędziła, za całe pożywienie pijąc wodę zdrojową. („Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony“.) Piątego dnia czując swe siły zwątlone głodem, zakołatała do chaty rębacza, przekonawszy się wprzódy, że w niej sama tylko była kobieta. Poprosiwszy o kawałek chleba, który jej chętnem sercem był udzielony, nazwała miejsce, do którego udać się zamierza, pytając która droga najprędzej do niego prowadzi. Żona rębacza z uśmiechem powiedziała jej, że to podróż niepodobna, zważając zapewne na jej podeszły wiek, ale że właśnie jest na dobrej drodze“.

U Słowackiego z powodu drobnych jeno zmian jakże pięknie wypadł odnośny ustęp:

Weszłam nareszcie raz do jednej chaty,
Gdzie nakarmiła mię dobra niewiasta
I zobaczywszy na mnie siwe szaty
Spytała: Pewnie na odpust do miasta,
Matko? Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie —
Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,
I rzekłam: Idę na odpust do miasta.
A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę,
Bo ta kobieta rzekła: To nie blisko!
I zaraz miasta (najbliższego) mi dała nazwisko
I powiedziała jak najbliższą drogę...

Przytoczyłem z rozmysłu wyjątek z rękopisu, o którego istnieniu może nawet nie wiedział Słowacki, i odpowiednie miejsca w naszym poemacie. Zgodność ich w niektórych szczegółach tłómaczy się tem, że czerpią ze wspólnego źródła. Wszystkie niemal opowiadania i opisy prześladowań Bazylianek dadzą się odnieść do jednego, źródła t. j. do zeznań samej ksieni tego zakonu. Ze stanowiska historycznego należałoby tylko porównać trzy relacye: Pierwszą, spisaną w sierpniu 1845 r. pod bezpośredniem wrażeniem, w Poznaniu, przez sekretarza arcybiskupa Przyłuskiego, drugą, umieszczoną w „Dzienniku narodowym“, trzecią, wydaną w osobnej broszurce a przełożoną na pięć języków — wszystkie osnute na podstawie opowiadania przełożonej klasztoru Ireny Makryny Mieczysławskiej. Pierwsza nie była znaną na emigracyi, dwie ostatnie znał Słowacki i korzystał z nich w swoim do łez wzruszającym poemacie, godnym stanąć na równi z „Ojcem zadżumionych“.

Tak się przedstawia genialny utwór Juliusza w stosunku do swego źródła. Czerpał zeń poeta swobodnie, zapożyczając nietylko główny wątek opowiadania, lecz także drobniejsze szczegóły, wszelako

na każdej, choćby najmarniejszej pożyczce, wycisnął pieczęć swego potężnego ducha i artyzmu.

Stosunek poety do źródła naprowadza zarazem na czas powstania poematu. Odnoszę go do ostatniego kwartału 1845 roku, określam zaś dwiema granicami, ogłoszeniem pierwszej wiadomości o męczeństwie Bazylianek (Paryż 27. września 1845) a zapowiedzią przybycia cara rosyjskiego Mikołaja w odwiedziny do papieża Grzegorza XVI. (w grudniu tegoż roku) i wydaniem broszury Jełowickiego. (Wyszła ona z druku w języku francuskim przed 8. listopada 1845, po polsku przed 7. lutego 1846 r.)

Słówko o społeczno-religijnem stanowisku, z którego patrzy Słowacki na swój przedmiot. Już na samym wstępie, podając powody ujęcia w ramy poetycznego obrazu owych bolesnych mąk, wymienia poeta obok współczucia i *zemstę* jako obowiązek społeczny syna kochającego swą ojczyznę. Pod takim kątem widzenia patrzyły na ten akt męczeństwa wszystkie ówczesne pisma emigracyjne — nie wyjmując nawet zachowawczo klerykalnych, zaprzeczających dziś prześladowanym prawa odwetu.

W portrecie bohaterki samej odbija się najwyraźniej punkt widzenia poety. Ma ona wygląd prostej szlachcianki, lubo skroń jej zdobi aureola męczeństwa. Na twarzy widać blizny ran, które „lepiej przystoją Polce niż korony“. W tych samych niemal słowach opisuje ją „Dziennik narodowy“ (z 18 paźdz. 1845 r.) Przytaczam miejsce to dosłownie, posłużyło ono bowiem twórcy „Króla Ducha“ jako szkielet mistrzowskiej charakterystyki Makryny.

„Siostra Makra Mieczysławska ma lat przeszło sześćdziesiąt, ale pomimo tylu cierpień i blizn wygląda

jeszcze młodo i czerstwo. W postaci jej i ułożeniu panuje niewymowna naturalność i ewangieliczna prostota. Osoby, mające sposobność poznać ją z bliska, widziały w niej wzór chrześcijański, przypomnienie dawnej polskiej niewiasty. Nie mogą się wydziwić jej naturalności, prostocie, a przytem niepospolitemu jej rozumowi. Zrodzona w głębi Litwy, wychowana w domu, w którym przechowały się staropolskie cnoty i obyczaje: pobożność, prostota i miłość ojczyzny, Mieczysławska łączyła w sobie świętość zakonnicy z cnotami Polki. I w tych to dwóch źródłach czerpała ona to niepokonane męstwo, tę niezłomną wytrwałość, które jej i towarzyszkom zgotowały wieniec męczeński."

Nasz poeta, wysoko dzierząc w owej mistycznej epoce ideał męczeństwa — sam prowadził ascetyczny niemal żywot — z całą otwartością przyznaje się pytającej go o godność męczennicy, do grzechu młodości: oto kiedy towarzysze jego składali życie i mienie na ołtarzu ojczyzny, on „przed męką" uciekł. Autor „Ody do wolności", trąbiący na pobudkę powstania — w chwili najgorętszych zapasów wojennych wyjechał — jak wiadomo — za granicę.

Następują pierwsze odwiedziny biskupa Siemaszki, jego szatańskie podszepty o nadaniu ksieni zakonu, za sprzeniewierzenie wierze, mitry gregoryańskiej, co owa naturalnie ze wzgardą odrzuca, a czem ściąga na głowę swoją i swoich towarzyszek piekielne męki. Wycierpiawszy je, nie wini oto Moskali. „Cóż oni biedacy tam mogą? — zapytuje — Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem, czekają tylko na sposobność rzucenia tego jarzma" — Ona gotowa nawet modlić się są winnych, żeby im Bóg przebaczył. Ale od swoich przeko-

nań ani na włos nie ustąpi — Zbierze swoje rycerki ducha i rozwinąwszy chorągiew rozpocznie z wrogiem bój na śmierć.

> Choćby nam przyszło umrzeć wszystkim razem,
> To umrzeć — a te *biskupy opryszki*
> *Mocować*, póki nam żywota stanie.

W przeciwieństwie do prawowiernych zakonnic, upatrujących jedynie w poddaniu się rozkazom przełożonej władzy swoje zbawienie („Jedne radziły do Rzymu napisać"), wobec drugiej kategoryi mniszek, że tak rzekę, anarchistek, gotowych beczkami prochu, złożonemi w piwnicy, wysadzić klasztor razem z żołdactwem w powietrze, postanawia bohaterka Juliusza krwią męczeńską okupić duszne zbawienie. Stara się zaś przedewszystkiem do tego wysokiego poziomu ideału podnieść swoje towarzyszki.

I tu mi znów wypada powtórzyć słowa redakcyi „Dziennika narodowego" jako najbardziej w tej rzeczy zbliżone do stanowiska poety. Podnosząc bohaterskie czyny Bazylianek powiada redaktor:

„Jeżeli one nie upadły w katuszach i męczarniach; jeżeli niezłamanie dotrwały w tej wierze aż do śmierci, to niewątpliwie w większej części winne to swej przełożonej, która w tej siedmioletniej próbie była dla nich naczelniczką, kapłanką i matką. Kilkadziesiąt zakonnic, słabych niewiast, śród powszechnej prawie apostazyi a to swych duchowych naczelników i nauczycieli, poniosło męczeństwo i śmierć za swe przekonania, za swą wiarę i ani jedna z tej liczby nie upadła. Jestto wielka zasługa i możnaby sobie przyznać stąd jakąś chlubę, ale

Siostra Mieczysławska nie uważała sobie tego za zasługę, ani za pobudkę do chwały, ale powtarzała niejednokrotnie, że robiła to z obowiązku. Wszystkie wyrazy pochwalne i oznaki czci, które chciano jej okazać, nazywała pokusą i starannie ich unikała".

W chwilach uniesień, kiedy sięgała dłonią po koronę męczeńską, albo kiedy w słowach rozognionych „duchem polskim" bunt podnosiła — umiała „zapału pokusę" w sobie stłumić i zdobyć się na ton cichy, jasny, prowadzący po ciernistej drodze do celu.

Spostrzegłszy się raz, że zbyt gwałtowny poryw ducha ucieszył jeno jej wroga — zebrała w sobie ducha i w chwili zenitu namiętności stanęła jak mur spokojna. Miała wszakże i ona chwile słabości — pod razami bagnetów płonęło w piersiach Polki piekło doraźnej zemsty. Trzeba było dużo sił zużyć na walkę z sobą, zanim zdołała podnieść swą duszę pod niebieskie stropy.

Katusze jeno słabych zabijają — silni rosną przez nie na duchu. U Makryny rozszerzały się w tych okrutnych mękach orbity uczuć — ku najniższym, najbiedniejszym, najdotkliwiej upośledzonym. — Schodziła tedy na samo dno społeczne. — Widok przymierającego na mrozie pod płotem żołnierza kaleki, każe jej zapomnieć o najsroższych bolach. „Cóż my jak żebrak lepszego!" A gdy żydzi wypowiadają wojnę Bogu za te niewinnie poniesione męczarnie, podnosząc lament wielki, to

Chwyta ją obca, jak matczyna ręka,
Łzy w oczach stają i coś w sercu pęka...

To współczucie do biednych żydów tak uszlachetnia cierpienie.

Ta, co w przystępie słabości, pod kołami tortur, bliską była samobójstwa, zdobywa się na czyn wielki: postanawia pójść w poselstwo i ogłosić całemu światu, „jaka swawola w popach wyuzdana, i jak katują wierne sługi Chrystusa“. Zgodnie z rzeczywistością przybywa Makryna do Paryża (we wrześniu 1845 r.) i przy pomocy Braci Zmartwychwstańców (zwłaszcza ks. Jełowickiego) udaje się jej poruszyć duchowieństwo, prasę a przez nią opinię Europy.

Opowiadanie męczeństw przejęło dusze chrześcijańskie zgrozą. Barbarzyńska Moskwa — stanęła pod pręgierzem całego świata. „Ta karta z dziejów Acta martyrum 19. wieku — pisze L' Univers z listopada 1845 r. — wartą jest pierwszych rozdziałów kreślonych przed ośmnastu wiekami przy blasku pochodni przyświecających w katakumbach. Ofiary nie są mniej szczytne, ni kaci mniej ohydni“.

„W całym przejeździe przez Francyę — donosi „Trzeci Maj“ z 8. listopada 1845 r. — przejmowana była nasza męczennica z największym zapałem, z najczulszym rozrzewnieniem, rozrywano jej welony, dobijano się o jej błogosławieństwo, o jakąś choćby najmniejszą pamiątkę — pełne podziwu i uszanowania tłumy wszędzie ją otaczały. Do oburzenia za despotyzm carski, do żalu za jej cierpienia i przebyte męczarnie łączy się w sercach pobożnych we Francyi głębokie spółczucie dla sprawy polskiej“.

Ale mimo ogromnego wpływu męczeństwa Mieczysławskiej, mimo dymów ofiarnych, jakie na jej cześć palono — nie czuła się szczęśliwą.

Tu wszyscy dobrzy, mam kadzideł, dymu,
Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę...

W kołach, wśród których się przez pewien czas obracała, a przyjmowaną była z uwielbieniem na salonach ks. Czartoryskich, w kołach owych widziała niestety dewocyę, dumę i wystawność. Jedną z tego towarzystwa prezentuje nam poeta:

Słodka jak patoka,
Z migreną w głowie — z bolem w każdym członku,
Hrabina, tak tu spojrzała z wysoka
Jak gdyby miała sakrament w pierścionku...

Szczebiocze po francusku o świętych pańskich jak sroka, i z przywróconemi oczkami zaleca „swego kontesora młokosa, mówiąc, że dobrze spowiada...“ Ma kryna wolałaby katorgę i łańcuchy niż takie małpy. Napiera więc na rychły wyjazd do Rzymu. Pragnie uchylić kolana na progu apostołów i zanieść przed ojcem ludów skargę na gwałcicieli najświętszych praw człowieka i narodu. Poeta, który w tej dobie zerwał był ostatnie ogniwa łączące go z urzędowym kościołem, wstrzymuje przełożoną od wyjazdu, wystawiając w najgorszem świetle stolicę apostolską. „Ujrzysz tam — powiada — na świętej fortecy błyszczące widma, ujrzysz ohydną wszędy cześć bałwanów i straszne męczeństwo ducha. Spotkasz się tam z panem twoich oprawców, który u ojca św. znajdzie godniejsze od ciebie przyjęcie...“

Że Słowacki trafnie oceniał stanowisko kuryi rzymskiej, wykazały rzeczywiste wypadki. Oto dnia 6. listopada 1845 — donosiły spółczesne pisma — przyjętą była ksieni Mieczysławska w Rzymie przez ojca św, Grzegorza XVI., który boleśnie był wzruszony opowiadaniem okropnych męczarń, słuchał ją ze łzami w oczach,

polecił ks. Jełowickiemu (i O. Rylle, wezwanemu na tłumacza,) spisać jak najdokładniej jej opowiadanie. Tymczasem car Mikołaj, wracając w grudniu tegoż roku z Londynu, odwiedził papieża. Wyczekiwano wówczas stanowczego ze strony stolicy apostolskiej wystąpienia. Spodziewano się „widzieć pod wzrokiem następcy Piotra — blednącego następcę Nerona". Niestety męczarnie wiernych, jęki ludu polskiego w kajdanach nie zaważyły na szali namiestnika Chrystusa tyle, co względy polityczne wobec najpotężniejszego władcy świata.

Zachowanie się to kuryi rzymskiej określa wiarygodny świadek ks. Paweł Smolikowski, przełożony Zmartwychwstańców. Papież Grzegorz XVI. — czytamy w Historyi tegoż Zgromadzenia — po wizycie cara w Watykanie zmienił swój pogląd na sprawę prześladowania Bazylianek i zakazał drukować relacyę Makryny, wypierał się nawet owej publikacyi. Ale rzecz była już spóźniona. Przy pomocy bowiem Montalemberta i spółczesnych dzienników rozgłoszono ją po całej Europie.

W sprawie Makryny zajęła stolica apostolska niebawem wręcz wrogie stanowisko. Oto jedno z pism katolickich w Paryżu donosi w marcu 1846 r., że ogłoszenie drukiem opowiadań Mieczysławskiej przyjęte było w Rzymie z oburzeniem, obawiano się bowiem, że „zaszkodzić mogą rozpoczętym z Rosyą negocyacyom". Papież miał się oświadczyć, że nie tylko nie upoważniał ogłoszenia, ale że wszystko stało się bez jego wiedzy, lubo spisanie raportu z opowiadań ksieni Mieczysławskiej odbyło się na jego rozkaz. Takie niepewne i bojaźliwe kroki uważał ojciec kościoła za po-

żyteczniejsze aniżeli otwarte i śmiałe stanięcie przy prawdzie i sprawiedliwości.

W prasie demokratycznej, a nawet w sercach katolików, zakipiało na wieść o tej zmianie frontu papieża: „Dlatego właśnie, że jesteśmy rzetelnymi i najgorliwszymi katolikami — odzywa się jedno z pism emigracyjnych — oskarżamy duchowieństwo wyższe, a szczególniej ojca św. o niegodną powolność względem tyrana północy. Następca św. Piotra jest sprzymierzeńcem, niemal przyjacielem najokrutniejszego oprawcy katolików. — Najsromotniejszy to upadek. Ludy katolickie coraz więcej tracą wiarę w Rzym, bo nas wydaje w ręce wrogów katolicyzmu. Wszyscy tyrani, wszyscy ciemięzcy trzymają się życzliwie za ręce i zgrzybiały starzec panujący w Watykanie, aby się utrzymał przy swej doczesnej władzy, potrzebuje poparcia od petersburskiego despoty“. (Demokracya polska XIX. w z 25. paźdz. 1845 r. Nr. 9.)

Zgodnie z tymi na kuryę rzymską poglądami, w części przynajmniej nie obcymi Słowackiemu, przestrzega poeta Makrynę przed Romą, o której spółcześnie na innem miejscu wołał donośnym głosem:

...Roma!
Nie jesteś ty już panią i królową,
Boś jest jak szatan cielesny łakoma,
A niższa sercem od ludzi i głową.

Na zapewnienie poety, że w tem bagnie rzymskiem zabruka swe białe skrzydła, że ta, która „królową ducha wyszła“ z rąk tyrana, moralnie „umarłą wyjdzie“ z tej mogiły chrześcijaństwa, że nawet gdy z niej wstanie, to chyba z przekleństwem na ustach — wydaje Makryna rozpaczliwy krzyk, tak straszny, że

przy nim bledną wszystkie jęki najwyuzdańszych orgii katuszy. A krzyk ten bohaterki, stojącej nad brzegiem przepaści, maluje najwymowniej i najpiękniej społeczne stanowisko poety, pątrzącego na męczeństwo Bazylianek jako na sprawę ucisku z punktu widzenia Polaka i człowieka.

Nie trudno więc będzie zrozumieć nieprzychylne stanowisko zajęte wobec Słowackiego przez żywioły zachowawcze. Kiedy „Dziennik literacki“, ogłoszając po raz pierwszy 1861 r. poemat ten z rękopisu (udzielonego mu przez wuja poety, Teofila Januszewskiego,) w uwadze redakcyi wskazywał palcem na papę Grzegorza za to, że „opatrzył cara Mikołaja rozgrzeszeniem i błogosławieństwem a Mieczysławską, (przebywającą równocześnie w Rzymie) w jednym z klasztorów zamknąć kazał — co nawiasem mówiąc wydaje się mimo zaprzeczeń bardzo do prawdy zbliżonem — wówczas wystąpił z pierwszą krytyką znakomitej kreacyi Juliusza „Przegląd Poznański“. Zaczyna on od sprostowania. „Nigdy matkę Makrynę nie zamykano. Osiadła ze swojego wyboru w klasztorze Sercanek, gdzie za Grzegorza XVI. widziała się otoczona wielkiem uszanowaniem, odwiedzał ją Pius IX. Teraz (1861) ma klasztor osobny Bazylianek naprzeciw kościoła San Eusebio“. (Umarła około 1870 r.) Poczem bryznięcie błotem: „Słowackiego wiersz — jak zwykle u niego — nierówny, zbyt jaskrawy (!) pełen tego uniesienia, co jeno z fantazyi płynie, ma jednak piękne wcale ustępy. Najgorszy w nim koniec: „Ja chcę do Rzymu“ itd. Trudno o chłodniejszą zawziętość przeciw Rzymowi, ale trzeba pamiętać, że Słowacki, kiedy pisał wiersz ten, należał jeszcze do zwolenników Towiańskiego, bo tylko co się był od nich odsu-

nął, bez zwrócenia się ku prawdzie katolickiej". Że wpływ towiańszczyzny, nie oddziałał szkodliwie na tendencyę ani na artystyczną stronę poematu, o tem przekonywa świadectwo A. Małeckiego, który, surowo oceniając utwory z tej doby twórczości Juliusza, powiada o „Rozmowie z Matką Makryną", że „objawy towianizmu są w niej tak nieznaczne, artystyczny jej układ tak prosty, a moc słowa taka potężna", iż zaliczyć ją można do arcydzieł literatury polskiej i jako „obraz strasznej boleści i zgrozy" postawić tuż obok „Ojca Zadżumionych". W istocie owa „mgłami stycyzmu", niby ślubnym welonem osłaniając skroń Makryny, przydaje jej niewymownego uroku i otwiera rozległy widok na bezbrzeżne krainy ducha.

Nie tu miejsce na estetyczny rozbiór poematu. Pozwolę sobie jeno zwrócić uwagę na siłę i ekspresyę wykonania, objawiającą się w obrazach, porównaniach, przenośniach — słowem w plastyce wysłowienia, godnej rylca Homera. Oto kilka przykładów. Tłómacząc się we wstępie z powodów podjęcia osnowy owych bolesnych scen „przenikających nożami", bierze poeta „dla swojego czoła uświęcenie" nie z rąk muzy, ani od rodziny przenajświętszej, ale z krwawej ręki męczennicy, która mu się w sennem marzeniu objawiła „przeze mgły wyrzucająca takie strachu strzały z palców ognistych", że drżał jak Mojżesz „kiedy mu Jehowa rękę swoją pokazał ze skały". Na widok jej twarzy, jaśniejącej „męczeństwem złotem", uderza czołem o ziemię, jak pokutujący zbrodniarz przed Panem. Aureolą mąk ukoronowanej matce skarży się syn ojczyzny, przedstawiając niewolę dwudziestomilionowego narodu w tych oto trzech wyrazistych obrazach: „Gdyby to miedziane

grosze (owe skargi milionów) świat prawie kupić; gdyby pozespalać krwi kropelki, tą krwią świat możnaby zalać; gdyby błysnęły wszystkie ognie z lica, świat możnaby spalić".

Apostazyę biskupa, troskliwego swych owieczek pasterza, maluje poeta najpierw głuchą o niej wieścią, potem przestrachem mniszek, które porwane przed ołtarzem „niewidzialną siłą padały czołem jak małe dzieci, które dziad przeraża". Wreszcie sama ksieni rozprawiła się w samotności z duszą renegata. Przywołany potęgą jej myśli staje o północy w kościele cień biskupa — błyszczący oczyma „jak szkła wypukłemi i próżnemi." A choć ją strach za serce ściska, bada przenikliwie „która kość w nim drzy, a która się trzyma". Rzuca się potem krzyżem na zimną podłogę kościoła i leży w takiej gorączce, że „krzyż na ziemi wypotniał".

Namowy biskupa do zmiany wiary oddaje poeta w żywych kolorach. „Siadł blisko i trafiał słodkiemi słowy" — Spróbował potem szatańskich kuszeń mitrą biskupią; słowa jego zaszeptane w ucho, „jak węże skórą szeleściały" — słowa te, „skryte, ślepe krety" zalegające gdzieś w podziemiach trumny, raniły jej duszę czystą tysiącem sztyletów.

Wyrok cesarski, skazujący na wygnanie wierne kościoła córki, uwydatnia poeta przerażeniem owych „strasznych rycerek, odprawiających straże przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy". Oto na widok rządowego papieru „wszystkie jak szpaczki zbiegłszy się — stoją blade, nieme, drżące, strwożone laku samego zapachem". Uczucie strachu podnosi autor niejasnością ukazu, niewymieniając miejsca wygnania. Pierwsze to „zagrożeń widziadło" wychyla się z „bia-

łych papierów, pełnych gróźb, a tak milczących i głuchych, jak mogiły", spada zaś na dusze słabych niewiast ciemnem, piekielnem przerażeniem. Pragnąc uwydatnić pierwszy ten akord wspaniałej symfonii męczeństwa, obniża poeta w porównaniu z tem późniejsze katusze. „Męka — powiada — gdy ciało już kąsać zaczyna, to nic, duch wtenczas nabiera odwagi i samby poszedł na miecz nagi". A jakby nie dość tego, potęguje owo wrażenie wezbraniem ducha świetej męczennicy, która wspominając ów groźbą brzemienny ukaz „podniosła się i z takim gestem zapalona — polskim, duchowym językiem śpiewała", że wydawało się, jak gdyby „w słowach rozognionych rosła".

Dzieje męczeństwa zakonnic znaczy poeta wrażeniem duszy jej przewodniczki. Lęk biedaczek „drżących jak na drzewie liście" odczuwa ona sercem, które jej „bije ciężko, jakby młotem". Obawia się, że „gdzieś wielka żyła pękła i kropliskami ciężko w pulsa sieje". Czuje już jak „krew kapie — a jak dokapie — zaleje" ją całą. Lecz trwoga o los jej sióstr zakonnych dodaje jej odwagi. „Głazem z Dawida procy" rzuciła na Goliata i „stanęła mu twarz w twarz", spostrzegłszy jednak, że ten „poryw ducha" gotów sił przysporzyć wrogowi — „znów zacięła zęby" z bolu i niema, „zimna ducha do ciała jak nogi stonoga zebrała w sobie" i zeszła „na dno mogiły, do serca — po Boga".

Trzykrotne, coraz groźniejsze pytania biskupa, czy przejdą na jego wiarę, wyraża *crescendo* od umizgów i cichych westchnień po przez skargi i złowrogie spojrzenia „szarych ócz" (nito „strasznych jaszczurów, które złotemi jad oczyma leją") aż do wycia i rwania piersi wzdętych, miotających „jakby rynna błoto". Na

tle biernego oporu, jak toń spokojnych i milczących mniszek, odbija mocno bezsilne szamotanie się rozbestwionego popa. Targał się „jak pies w łańcuchu“, „zębami szczękał, kościami klekotał — jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada, który się na psy szczekające gniewa i trzęsie, klaszcząc jak kościotrup z drzewa“. Wezbrane fale namiętności rozbiją się jednakże o słabą pierś kobiet -- wytrwałość ich oddają trzykrotnie na czole wiersza powtórzone słówka: My nic!

Na „krwią wypluty“ rozkaz opuszczenia klasztoru następuje wymarsz zakonnic pod eskortą żołdactwa. Poeta rozpoczyna od miękich, molowych tonów żalu zakonnic za ojczyzną, „gdzie domy pachną — gdzie nas Chrystus matkom z rąk odebrał, a potem strzegł jako swe jagnięta“. Widzimy pochód strapionych mniszek w długim szeregu; na czele idzie jedna z krzyżem, na końcu wlecze się na kolanach paraliżem tknięta staruszka, sucha i jak „trup biała“. Chciano jej oszczędzić łez i jęków pożegnania, któremi zapełniła się nawa kościoła w czasie ostatnich modłów. Ale nieboga nie dała się złudzić. Pozbawiona władzy rąk i nóg, chwyciła się paralitycznie za szyje dwóch towarzyszek i wywijając kijami niby mieczem stanęła jak rycerka w obronie wygnanek. Jej zgon na ręku Mieczysławskiej, to jedna z najpiękniejszych scen tego Dantejskiego obrazu.

Pochód z jej trupem „jakby z manifestem“ urozmaicają etapy znęcającego się żołnierstwa, przyczem występuje plastycznie czystość i niewinność dusz niewieścich na tle brudu i brutalności.

Z przybyciem do klasztoru w Witebsku, owego „żywego piekła“, rozpoczynają się katusze ciała — naj-

pierw „bardzo proste i lekkie“, potem coraz sroższe i nieznośniejsze, podczas których „krzyczały aż brzuchy“, wreszcie nastają tortury sprowadzające śmierć. Z trzech mniszek zabitych przy murarce jedna poniosła straszny koniec „lecąc jako młyn okropny z góry“ i plamiąc krwawą strugą ściany śnieżystej białości. Wszystkie zaś rzucone pomiędzy spite żołdactwo i diaki, tarzały się w brudzie i jękach. Opis tych gwałtów godzien stanąć u bram Dantejskiego piekła: W powietrzu powiewały „krwawe bielizny mniszek jako sztandary“ a w dole świeciły jak gwiazdy głowy bez twarzy, „wybite pięści biskupiej pieczęcią“, czaszki ze zdartym mózgiem, oczy we krwi błyszczące jak kwiaty niezabudki.

Krajobrazy, przez szkła kontrastu oglądane, jako ów cichy gaik z jeziorem odbijającem niebiosa, albo widoki harmonijnie spływające z ponurem tłem dramatu, jak owa senna, zasłonięta mgłami, wioska kąpiąca się w morzu krwi zachodzącego słońca, przydają opisom nieprzebranych mąk cudownego uroku. Pobyt w Połockiej turmie, okolonej ciemnym, dzikim borem, przypada na czas jesiennych wichrów. W nocy, pełnej rozbojów i orgij moskiewskich, dzwonią na jutrznię — w celach przejmujące zimno — słychać na polu jęki a „w myśli staje ci trup czerwony“. Ledwie świt szary zeszedł, aż tu z dwóch stron pędzą „przez mróz i przez grudę“ prześladowanych unitów, a drugą bramą gromadkę mniszek — „mrozem i wiatrem prawie przeźroczystych“... Pławienie naszych męczennic odbywa się w „pustej okolicy przystojnej męczeństwa duchowi“ — nad czarnym stawem, którego brzegi strzegą „wierzby jak upiory“. We mgle smętnej rozlegają się jęki ofiar

grzęznących w „traw wężowisku“; liny katów ciągną na „ołowiane tonie“ przemokłe mniszeczki; na wód źwierciedle unoszą się ich „kaptury jako stado kaczek“, a niebiosa na widok tej piekielnej męki zasłaniają swe oblicze płaszczem purpurowym. Obraz tej pławby, błotnisk i całej okolicy dzikiej poruszył nawet serca ludzi obcej wiary. Oto wpadła na ratunek żydówka „obwarzankami złotemi świecąca“: roztrąciwszy straż i karabiny, z których deszcz poszedł srebrny i pył jak z kopic śniegu, obrzuca obwarzankami niby snopem pszenicy bohaterkę, w tej złocistej koronie podobną do Noego „nad potopem, kiedy pod tęczę już wchodziła arka“.

Laokonowa grupa księży unitów, rzucona powtórnie na tło „lodowych błękitów“, czeka dłuta artysty: Leżą przy pompie, nadzy, skrwawieni i zkrzepli od zimna, a woda im na głowy ciecze i marznie. W „puhar kryształowy zamknięci skrzą się, a brody twardnieją jak miecze“.

Ucieczka przełożonej klasztoru z dwiema towarzyszkami zamyka godnie wspaniały cykl obrazów natury, splecionych w kalejdoskop najróżnorodniejszych mąk jakby nierozerwalnym łańcuchem. Było to w noc zimową — opowiada Makryna — kiedy ciżba czerńców, snem pijanych zdjęta, leżała kamieniem. „Wylazłszy po drzewach na mury, prędko skoczyłyśmy na dół z trzeciego piętra i zaraz jako ptaki przestraszone, śnieg otrzepawszy z odzieży, jak pierze, każdaśmy poszły szybko w inną stronę“. „Już dwie mile jak wiatr biegłam sama. Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony, dziwiąc się, biedna, że ptaszków piosenka tak tam wesoło w lesie dzionek wita“. Jedną z jej towarzyszek znaleźli dońcy, wysłani w pogoń za zbiegami, „u ścieku rzeczółki śród mostu“ i tam ją jak

ścierwo rzucili w wodę. Ksieni ocalała. Kostniejącą od mrozu, który krew ze źrenic wyciskał, ogrzewają swym kożuchem „niespędzone z pastwiska owieczki“, kładąc na zziębłe nogi matki swe „ciepłe łona“. I oto przed oczyma duszy staje uzdrowiona i łzami radości zalana postać męczennicy w chwili, gdy zapatrzoną w srebrzyste oblicze księżyca oplata girlanda niewinnych owieczek.

MAKRYNA MIECZYSŁAWSKA.

Słysząc, że głos jej nożami przenikał,
Gdy swe bolesne męki powiadała,
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał,
Ani rozdrażniał zranionego ciała,
Ani świadectwo wydawał o ranach;
Ale był wierny — jak syn na kolanach,
Który dwojakie ma kadzidło w darze:
Łzy albo zemstę — co matka rozkaże...
Szedłem, ażebym dla mojego czoła
zWiął uświęcenia od ręki anioła;
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała przeze mgły skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych — że brak na to słowa,
Żem drżał jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa
Rękę był swoją pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze,
U suchych, obcych ludzi na gościnie,
Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,
Które mię z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan, gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię.

A wtenczas ona: Cóż, ziomku kochany,
Przyszedłeś mocno, jak widzę, wzruszony;
Siądź. — Powiem tobie, że zamknięte rany
Lepiej przystoją Polce niż korony.
Ty młody jeszcze, nie topionyś w Niemnie,
A już ty bladszy, mój synu, odemnie.
Widząc was wszystkich takich w tej stolicy,
Chociaż ja sądzę rozumem prostaczki,
Widzę ja prawie, że i wy biedaczki,
Widzę was jasno — i wy męczennicy.

Westchnęła — a ja: Matko, powiedz, proszę,
Czyś ty do boskich nie zaniosła tronów
Skargi na tyle polskich milionów!
Dwadzieście!!! Gdyby to miedziane grosze —
Świat prawie kupić! — gdyby pozespalać,
A każdy dał krwi maleńką kropelkę,
O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,
Świat możnaby tą krwią czerwoną zalać!
Gdyby błysnęły wszystkim ognie z lica,
Świat można spalić! — A ty, męczennica,
Polka — w żołdackim utopiona brudzie!
Nie — Car nie winien — to winni ci ludzie!

A ona: „Nie skarż, o nie skarż nikogo!
Nie skarż! bo oni biedacy nie mogą...
Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem
Czekają tylko na pierwszą dogodność.“

Tu mię spytała: „jakiem zwać nazwiskiem?“
Nie dosłyszałem — a ona: „jak godność?“
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
„Godności nie mam — przed męką uciekłem...“

I nastąpiło ponure milczenie,
Ona z milczącą a ja z twarzą ciemną...
Czułem, że cierpi ze mną i nade mną,
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

. . . . . .

...Tak mię pocieszywszy nieco,
Mówiąc o duchach, które w kraju rosną,
I obeznawszy mnie z tą piękną wiosną,
Do której myśli jak żórawie lecą,
Mówiła dalej: Raz nam do klasztoru
Wieść przyszła, że nasz Biskup zmienił wiarę.
Nie wierzyłyśmy — Lecz w godziny szare,
Kiedyśmy poszły na modły do chóru,
Strach jakiś przewiał nieznany kościołem
I powiał na nas niewidzialną siłą;
Każda myślała : A gdyby tak było!...
I przerażone padałyśmy czołem,
Jak małe dzieci, które dziad przeraża,
Nie śmiejąc rzucić tej nocy ołtarza.

Potem zostawszy ja sama w kościele,
Rzekłam: Z Biskupa duszą się rozprawię,
Myślą go sobie przed oczy postawię,
Wzrokiem zapytam — jakie on ma cele?
Stanął mi: a ja sądziłam oczyma,
Która kość w nim drży — a która się trzyma,
Strach mię za serce przenikliwy ścisnął,
Bo stał wyraźnie i oczyma błysnął,
A oczy były od zwyczajnych różne,
Jak szkła wypukłe, świecące i próżne.
Wtenczas w przestrachu mój duch osamotniał....
Rzucam się znowu krzyżem, martwa leżę;
A takie poty szły aż przez odzieże,
Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.

Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny
Biskup w orderze krzyża czerwonego,
A ja raz tylko spojrzałam na niego...
(A trunek było czuć i woń stęchliny)
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Zimne — umarłe niby — lecz roztropne.
A choć przychodził do rzeczy zdaleka,
Już ja wiedziałam wszystko, co mię czeka...

Po tylu latach męki i konania
Dziś nie powtórzę pierwszej z nim rozmowy,
To tylko powiem, że do przekonania
Trafiał i groźbą i słodkiemi słowy.
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra!
Próbował i słów magnetycznych ze mną —
Była tam jakaś Gregoryańska mitra...
Słowa mówione z trwogą potajemną
Jak węże skórą szeleściły suchą,
Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.
On szeptał jak czart... wzrok miał obłąkany —
Szeptał... te słowa, mówię ci, szatany!
Nikt o nich nie wie, gdzieś po trumnach siedzą.
On tylko jeden i szatany wiedzą,
Jakie to słowa — skryte, ślepe krety —
Jakie to słowa! Mówię ci, sztylety,
Nie słowa ludzkie!...

Pan Bóg mię obronił.
A on też inny ton wziął ze mną zaraz.
Będziesz, powiada, tu miała ambaras. —
To rzekł i nisko kołpaka pokłonił
I wyszedł...

Ja też wnet zebrałam mniszki
I przysięgłyśmy przed Panny obrazem,
Choćby nam przyszło umrzeć wszystkim razem,
To umrzeć — a te biskupy opryszki
Mocować, póki nam żywota stanie;
A nawet westchnąć i modlić się za nie,
Żeby przebaczył Bóg...

Tegoć, mój drogi,
Trudno ci będzie już dzisiaj opisać,
Jakie to były u mniszeczek trwogi.
Jedne radziły do Rzymu napisać...
Drugie — nasypać prochów do piwnicy,
Beczki postawić radzą pod ołtarze;
Straszne rycerki — chcą odprawiać straże

Przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy...
Wszystkie jak szpaczki zbiegają się, radzą,
Wszystkie najlepsze pokazują chęci;
Lecz gdy mi z poczty papiery oddadzą,
A ja się tykam rządowych pieczęci:
To stoją blade — drżące — z dreszczem ciała,
Strwożone laku samego zapachem,
I mnie na palce patrzą z takim strachem,
Jak gdybym święty sakrament łamała.

Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:
Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...
Gdzie? co? — Nic więcej. — Uczułyśmy trwogę,
Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny...
Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,
Czy gdzie w łańcuchy? czy gdzie na wygnanie?
Czy gdzie na nędze, chłód i wichrów szturmy?
W Sybir? Któżby się nas tam upominał! —
Może, myślałam, posadzą do turmy
I tam oskarżą o jaki kryminał?
Dotąd mię jeszcze strach okropny bierze,
Gdy myślę — jaka to szatańska była
Ta ciemność wielka w rządowym papierze,
Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko, co potem z nami nastąpiło,
Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą,
Nie takim strachem nam na duszę spadło,
Jako to pierwsze zagrożeń widziadło.
Pomyśl, którażby nie zmieniła cery,
Spojrzawszy w trupie te białe papiery?
Papiery pełne i groźby i siły,
A tak milczące, głuche, jak mogiły.
Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie,
W nas był... i szeptał strachami wygnania.
Męka to była nie do opisania!
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie...

Bóg upominał, lecz strzegł... Wszystko potem
Było przynajmniej już jasne, widome.
Cierpieć? My cierpieć byłyśmy łakome.
Z głodu umierać? — A cóż, gdy pod płotem
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?
Czasami żołnierz zgłodzony, kaleka,
A psi go tylko sami głodni strzegą...
Umierać?... Cóż my jak żebrak lepszego?
Męka, gdy ciało już kąsać zaczyna,
To nic, duch wtenczas nabiera odwagi
I samby prawie poszedł na miecz nagi;
Ale ta pierwsza zagrożeń godzina,
Gdzie wsparcia zniskąd, a ciemny strach wszędzie ..
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Zadrżałem: tak się ta święta podniosła
I z takim gestem zapalona cała
Polskim duchowym językiem śpiewała
I w słowach niby rozognionych rosła!
Lecz się spostrzegła, poważna matrona,
Że duch zebrany być musi do łona,
A nie ulegać zapału pokusie —
Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz wziąwszy z siebie takich tonów,
Któremi zawsze człowiek rządzić może,
Rzekła: Chcesz słyszeć o moim klasztorze,
Powiem ci krótko kilka naszych zgonów,
Kilka męk... Już wiesz zapewne od braci,
Że byłam sama Przełożoną — Ksienią;
Widzisz, czem jestem — sądź z mojej postaci:
Nigdy mię ludzie podli nie odmienią,
Ani też choćby złotem mię przykryto!
Zwyczajną jestem, jak widzisz kobietą,
I taką byłam; to jednakże powiem,
Żem niegdyś była panną myśli trwożnej,
Bom się rodziła w rodzinie zamożnej,
Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem

I wytrwałością . . . . . .
. . . . . .

Przyszedł dzień ofiary —
Sam Biskup zjechał, zwołał uroczyście.
Wszystkieśmy drżały jak na drzewie liście;
Ja nawet jeszcze nie nabrałam wiary,
Trzęsłam się cała, zbiedzona, zalękła,
Strudzona, głowy znękana zawrotem,
Serce mi biło ciężko, jakby młotem;
Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła
I kropliskami ciężko w pulsa sieje —
Krew kapie — a jak dokapie — zaleje.
Słucham — a czuję, że już coraz bladnę:
Strach! — a cóż poczną biedne siostry moje,
Jeżeli trwogą zabita upadnę?...
Nie! przed Biskupem żywa już dostoję.

Ale Bóg dobry — o! tak, Pan Bóg dobry!...
Zaraz mi weszło coś do serca mocy;
Ha! pomyślałam: z Mieczysława Chrobry,
A z Mieczysławskiej głaz w Dawida procy.
Niech czart próbuje. — Cóż? — choćby i bito.
Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobiétą!
I znów uczułam, że ten poryw ducha
Przydał Siemaszce odwagi i siły: —
Więc znów zacięłam zęby — zimna, głucha;
Ducha do ciała jak nogi stonoga
Zebrałam w sobie: jak na dno mogiły,
Zalękła poszłam do serca — po Boga!

A on jak gdyby te straszne jaszczury,
Które złotemi jad oczyma leją,
Spojrzał: — my stały spokojne, jak mury,
A on, choć z małą jak sądzę, nadzieją,
Zapytał: A cóż, siostry moje drogie,
Chcecie przejść wszystkie na braterską wiarę? —
My nic — On westchnął — i znów oczy szare
Obrócił na nas, ale już złowrogie.
Siostry mi potem mówiły, że w miarę

Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,
One już radość jakąś czuły, wiarę,
Różane moje, biedne siostry, święte...
Z umizgiem napół błagań i wyrzutów
Znowu zapytał jeszcze słodszym głosem:
Któraż z was łaską pogardzi i losem,
A weźmie...? — tu nam rzucił pękiem knutów!
My nic. —

Oddechu wciągnął w schrypłe płuca,
Nareszcie nie mógł już więcej, wrzał skrycie;
Więc jakby rynna, gdy błoto wyrzuca,
Wrzasnął i zawył: — Cóż? czy przechodzicie?!
Nie skończył, targnął się jak pies w łańcuchu.
My nic: — milczałyśmy i rosły w duchu.

Wtenczas on uczuł, że przed nami pada —
I my się czuły mocniejsze od niego.
Widzę go teraz: — skry mu z oczu biegą,
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,
Który na psy się szczekające gniewa
I trzęsie klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.
— Ja was, zakrzyknął, w powrozy, w łańcuchy!
Wy buntownice, suki, polskie duchy! —
Wywierał na nas wszystko i wymiotał,
Zębami szczękał, kościami klekotał —
My nic. — On wtenczas porwał krzyż, zdruzgotał
I wybiegł — drzwiami trzasnął — ze krwią plunął
Rozkaz Moskalom stojącym na dworze,
A echo od drzwi poszło po klasztorze,
Jak gdyby piorun za Biskupem runął.

A my po sobie tylkośmy spojrzały,
Oczyma mówiąc, że to wąż-lewiatan,
Żeśmy szatana zegzorcyzmowały,
Że to nie pop był, ale wiatr i szatan.
A wtenczas tylko już nam bez oporu
Przed żołnierzami przyszło wyjść z klasztoru.

Nie wiesz boleści, gdy rzucać przychodzi
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze
I duchem swoim jak matka odrodzi,
A potem jako swe jagnięta strzeże;
Nie wiesz, jak w domu takim pachną ściany,
Kwiatki się błyszczą, śpiewają organy.

Zebrałyśmy się: naprzód jedna z krzyżem,
Z Chrystusem, za nią my wszystkie strapione,
A na ostatku tknięta paraliżem
Staruszka — dobra, prosta... ta zdziwione
Oczy na wszystkie strony obracała,
Sucha, niesiona prawie, jak trup biała,
Błyszcząca tylko w oczach, święta w duchu,
Ale bez władzy rąk i nóg i słuchu...
Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem:
— Na miłość Boga! twarzami do mura,
Ażeby tego nie zabić praszczura
Naszemi łzami i naszym widokiem!
Siostry też były dobre i rozumne.
Jedna szepnęła: — Gdzieś wstąpim po kweście
I zostawimy ją u ludzi w mieście,
Albo do bramy gdzie rzucim jak w trumnę;
Przyjmą staruszkę — chleba wszędzie dają —
Przytulą biedną, złudzą, oszukają,
Rzekną, że po nią powrócim — a ona
Tak gdzieś zagaśnie, jak lampa strawiona.
. . . . . .
. . . . . Ja też tak myślałam —
A jednak nagle patrzę na tę starą:
Ona coś szepce i źrenicą szarą
Pyta mnie srogo — Nie odpowiedziałam —
Spuściłam oczy. — Klękłyśmy; ostrożna
Kazałam cicho śpiewać Ave stelle;
Buchnął płacz — wstrzymać łez było nie można —
Płacz tak szarpiący, jak piekło. W kościele
Jęków, łkania i modłów taka zawierucha,
Że usłyszała nawet ta biedna i głucha!
Wtenczas mniszeczki obie chwyciła za szyje,

Zgięła, nóg wydobyła z siebie, wzniosła kije,
I wywijając temi kijami nad czołem,
Jakby rycerzem była, jakby archaniołem,
Chciała bronić. — Pobiegłam — zćmiło mi się
[w oczach, —
Upadłam przed nią — zda się — cięta po warko-
[czach,
Niby w gradzie pocisków — przerażona, drżąca,
Te białe kije trupa w tym gradzie widząca.
Chcąc te paralityczne pohamować złości,
Chwyciłam za kolana: — nogi jej - dwie kości,
Spojrzałam w górę: — trup był z papieru wybladły —
Rozkrzyżowała ręce, kije z rąk wypadły —
Już jej nie było — życia ani w jednym włosku —
Spuściła ręce — na mnie upadła jak z wosku
I głową się na głowie mojej biednej wsparła;
Wzięłam na ręce — trup był ledziutki — umarła!
Oddałam Bogu...
Rzekłem: O matrono,
Która tak straszne opowiadasz zgony,
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!
Kto cię Dantejską nakrywa koroną?
Odsłoń przedemną, chociaż do połowy,
Tajemnic twoich — niechaj je zobaczę!
Czy ty duch jaki stary, czy duch nowy
Przyszłaś jak Mojżesz prowadzić tułacze?

A ona: — We mnie sama matka płacze;
Nic ja nie jestem, o! nic ja nie jestem —
Ale posłuchaj, co się dalej działo.
Wyszłyśmy z wielką i spokojną chwałą,
Z tym trupem matki jakby z manifestem,
Strach rozsiewając podobny do mrozów
Pomiędzy ludem zgromadzonym w tłumie.
A tu ci wyznam i każdy zrozumie,
Że spodziewałam się jakich powozów;
Bo przecież zbrojną otoczona rzeszą
Nie pójdę z siostry we zbójecką jamę;
Pierwszy raz okiem rzuciwszy za bramę,
Postrzegłam, że nas będą pędzić — pieszo.

Słuchaj! — ty nie wiesz, co w niewieścich duszach
Strach wstydu rodzi — brzęk bagnetów w uszach;
Nie wiesz, jak drgają wszystkie żyłki ciała,
Gdy jakie brudne słowo w uszy wpadnie.
Słuchaj — gdym pierwszy raz ja w kark dostała,
To zabrzęczały zęby tak szkaradnie,
To piekłem zemsty skipiałam — kobieta,
Ja, Polka — pierwszy raz na rynku bita!...

To, mój kochanku, mówię tylko tobie,
Abyś nie myślał, że ja cała święta;
Ja także byłam i gniewem wzdrygnięta,
Nawet myślałam o zemsty sposobie.
Potem dopiero tak podniosłam duszę,
Że smakowały mi prawie katusze;
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą
Przed kułakami — tak jak zbroją złotą.

A takie piękne było wonczas lato,
I takie piękne były łąki nasze!
Pomnę — na promie, pomimo pałasze,
Bagnety, zgrają kozaków brodatą —
Uczułam wielką i piękną pogodę,
Patrząc na lasy, na błękitną wodę;
I przypomniawszy sobie czasy w domu
Ciche, wpatrzyłam się głęboko z promu
W płynącą wodę; a wzrok widać chciwy
Wydał się ludziom głęboko szczęśliwy,
Bo zaraz Biskup, spojrzawszy w me oczy,
Krzyknął na dońca: — Dierży! w wodę skoczy!
A doniec się też dotknął mego włosa,
A Biskup patrzał — kat w podłej postawie! —
Rzekłam do księdza już z litością prawie:
W wodę? — czy myślisz, że to są niebiosa?...

To rzekłszy — oczy znów swoje zakryła.
A ja: — O, matko! jak mi twoja miła
Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza;
O! jakie myśli z niej słodkie się rodzą!

Więc gdyby niebo — to tybyś skoczyła?
Więc gdyby jaka ci niebieska władza
Rzekła: O, matko — patrz, obłoki schodzą,
Wstępuj do światła po za ziemskie ciemnie...
— Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,
Usta uśmiechem rozsładzając rzekła:
Widzisz — do nieba jeszczem nie uciekła,
A Witebsk blisko był tej strasznej bramy,
Przez którą wskoczyć mogą męczennice...
Tam nas Moskiewki, okropne czernice,
Wtrąciły wszystkie do wilgotnej jamy,
A klasztor cały był ciemny, pijacki,
Głuchy — i ciężki — wszędy smród żołdacki,
Łoju i skóry i prostej gorzałki
I wstrętu, który czynią zgniłe grochy;
A często kobiet bitych słychać szlochy
I świst wężowy smagającej pałki
I pocałunków na katowskiej ręce
Klask — i ćwiczonych skomlenie bydlęce.
O! czarne, ruskie klasztory straszliwe!
Piekło, powiadam tobie, piekło żywe!...

Teraz-że pomyśl, co my w takim brudzie
Musiały cierpieć — i westchnij do Boga!
Westchnij — bo ileż to cierpią tu ludzie,
Nim na grób przyjdzie zmordowana noga!
Lecz to dziwniejsza, ze takie są miedzie
W sercu tu ludzkiem, ludzkich męczycieli!
Wiesz, jak dawali nam bez wody śledzie;
Wiesz, jak pokarmu zwykłego ujęli,
Jak obrócono ręce do mularki,
A grzbiety nasze — pod kamień i chłostę...
To wszystko były męki bardzo proste,
Lekkie... Po ciele szły czasami ciarki,
A czasem głodem krzyczały aż brzuchy,
Lecz duch nie cierpiał — owszem rosły duchy
I potężniały znoju i głodu żniwiarki.
I raz gdy z lochu po miesięcznym głodzie
Wyszłyśmy nagle na słońce odkryte,

Tośmy krzyknęły były. Twarze zmyte
Jakby w słonecznej i różanej wodzie.
Lubośmy żyły w lochu prawie gliną,
Rozpoił nas duch boży — tak jak wino.

Wtenczas nie wiedział już Biskup, co pocznie,
A chciał koniecznie przełamać kobiety ;
W rękach miał dzidy — a w oczach sztylety,
A w serca patrzał: — zmiany chciał niezwłocznie.
Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która
Weszła do cerkwi — obrazom się kłania...
Żadna! — dwie biedne spadły z rusztowania,
A jedną kamień urwany ze sznura
Z oczu nam prawie, jak widmo promienne,
Zdjął, lecąc jako młyn okropny z góry...
I tylko krwawe purpurowe sznury,
Plamiące długo białości wapienne,
Aż od samego, samego poddasza,
Aż do samego dołu, cieknąc strugą,
Przypominały nam długo i długo,
Że tak zabita jedna siostra nasza!
A jednak mimo to, że tak szkaradna
Śmierć była, takie nagrobki straszliwe:
Wszystkieśmy były do końca cierpliwe;
Bóg dał, nie przeszła z nas żadna a żadna.

Wtenczas już Biskup nawet nieco trwożny,
(Bo się rozniosło, bo już Witebszczanie,
Już jakieś ruskie powiedziały panie,
Że to nie klasztor, ale dom katorżny!)
Wtenczas już, mówię, Biskupisko stare
Byłby dał krzyże już i gwiazdne znaki,
Byleby tylko chwycić pozór jaki,
Żeśmy ugięły przed nim naszą wiarę.
Więc raz znienacka do cerkwi nas wiodą
Głodne, trzęsące się od zimna — trwożne...
Zaraz-em czoło Biskupa bezbożne
Ujrzała — topór ujrzałam pod kłodą...
O! na Chrystusa, co nam winy zmazał,
Sądzę, że topór mi Pan Bóg pokazał;

Bom nic nie rzekła — a nad rozkaz słowny
Mniszkom znak dałam w tak jasnych wyrazach,
Że żaden Biskup, choćby jak duchowny,
Nie zrozumiałby. — W takich zwykle razach
Mniszeczki wszystkie czynią, co ja czynię,
Mówią, co mówię... wchodzą, gdzie ja wchodzę —
Teraz jak gąski stanęły na drodze,
Ja byłam woli całej monarchinią,
Pasterką owiec — A w chwili szkaradnej,
Kiedy uczułam w sobie taką władzę,
Rzekłam jak Chrystus, że nie stracę żadnej,
A wszystkie razem w niebo zaprowadzę.
Rzekłam — i nagle porwawszy siekiery,
Ku Biskupowi poszłam: — Weź Herodzie,
Weź, popie! — ścinaj łby i rzucaj w dwiery!
A do mniszeczek: — Kładźcie się na kłodzie!
Ledwom wyrzekła, wszystkie buch na ziemię —
Każda na belce głowę... ku mnie oczy...
Myślałam wtenczas, że piorun wyskoczy
Z oczu Biskupa, lub jakie złe plemię
Czartów ognistych, krwawych nietoperzy
Z pod brwi wyleci i na mnie uderzy...
Porwał żelazo — rękę wzniósł — skamienił —
I tak zacisnął, że zlodowaciała
Zielona jak trup — a sam się zapienił
I tym toporem mi tu, koło kłęba,
Cisnął i nogi — patrz — skroił kawała,
A potem w twarz mi dał i wybił zęba...
Ja tylko na to, nie zmieniwszy cery,
Choć z dwóch ran już krwią purpurową ciekłam,
Ząb mu podałam wybity i rzekłam:
Zawieś to między twe wszystkie ordery!

Ty może myślisz, że to duma świecka,
Mnie nieprzystojna? — Na to nie ma zgody.
Pomyśl: — ja Polka! ja córka szlachecka!
We mnie gadały dawne moje rody,
W usta mi dziwne odpowiedzi kładły;
Ciało z nich było — a i od nich siła,

Walczyły za mnie, ja za nich walczyła;
Gdybym upadła — byłyby upadły.
Widzisz — potrzebne było nasze męstwo!
Widzisz — że przy nas zostało zwycięstwo.
Co? —

Drżałem cały — i z dalszego wątka
Powieści ledwo mogłem pomięszany
Spamiętać tylko jakieś straszne rany,
Które poniosły w brudzie niewiniątka...
We mgle rzucone duchy bez ojczyzny
Pomiędzy spite żołdactwo i diaki —
Wrzask, jęk i krwawe w powietrzu bielizny
Jako sztandary i skrwawione ptaki;
A dół nie tknięty nawet już pamięcią,
Kędy świeciły jak gwiazdy różane,
Te głowy, z których twarze pozrywane,
Wibite pięścią biskupiej pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowane.

Co mówię! — głowy te — listy otwarte —
Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte;
Oczy gdzieś w błocie świecące i słomie
Ze krwi wystają niby niezabudki;
A ciała — ciała jak bez kształtu kłódki
Tarzały sobą jęczące po domie;
Na widowisko tak strasznie zwierzęce
Wejrz, Chryste Panie, i rozkrzyżuj ręce!

A wy, o smętnych pamiątek anioły,
Mówcie wy ciągle nad ludzi łożami
Sennych, to słowo okropne: Dziedzioły!
Tę wioskę mroźną, osłoniętą mgłami,
Gdzieś pod sosnowym śnieżącą się borem,
Z jedyną cerkwią ruską jak z upiorem,
Z troistą wieżą ciągle owronioną,
W prochach zorzanych błyszczącą, czerwoną...
Ciągle to ludziom przed oczy przynoście,
Ciągle stawiajcie przed źrenice obie:

Niech czują w duchu te wieczne nudnoście,
Które ma człowiek niespokojny w sobie!
— W Dziedziołach — rzekła Pańska męczennica —
Już nie byłyśmy z sobą wszystkie razem.
Wiele nas padło pod biczem i płazem,
Dziesięć zostało bez ludzkiego lica,
A upiorami wszystkie tak strasznemi
Były i kości tak miały popsute,
Że Biskup nawet już sam za pokutę
Nie byłby żadnej pokazał na ziemi.
Te zostawiono w Witebsku — a drugie
Dziesięć w Połocku... A z tego już miasta
Ja szłam z dwunastu siostrami — trzynasta —
Pod jesień — Wicher, śniegi, noce długie...
I stanęłyśmy w Dziedziołach w klasztorze
Znowu u czernic, lecz obmurowane;
Gdyby nie zimne kopuły blaszane —
Turma, nie klasztor...
Przy ogromnym borze
Stał, lecz w dziczyźnie takiej zbudowany,
Przy takiej wiosce i na takiem polu,
Że strach był może mocniejszy od bolu...
Noc w noc rozboje, żydy, markietany;
Czasem na jutrznię dzwonią — ciemno w szybach,
Zimno w celicach, ołów tylko brzęczy
Jak wóz z szynami, gdy idzie po skibach;
Słuchasz — a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,
I nim umilkną rozżalone dzwony,
Staje ci w myśli, że tam trup czerwony.

Raz na tych smętnych dziedzińcach klasztoru
W poranek szary, pomnę, rąbię drzewo,
A tu na prawo jęk i brzęk na lewo,
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru.
Słucham i patrzę — Otwierają bramę —
Patrzę, kto wejdzie: O, polski mój Chryste! —
Mniszeczki wchodzą, jak my takie same,
Mrozem i wiatrem prawie przezroczyste,
Podarte na nich płaszcze i trzewiczki,

Nogi skrwawione przez mróz i przez grudę,
A twarze takie chude — takie chude...
A oczy — jakby na opłatkach świeczki.

I znów ostatnich niby wołokitów,
Wpędzono drugą bramą pięć straszydeł;
Ci weszli, jako puszczyki bez skrzydeł,
W łachmanach. — Było to pięciu unitów,
Biedniejszych od nas. — Jeszcze jakaś święta
Jasność kosteczek naszych się trzymała,
Ale ci ludzie .. skóra im zczerniała,
A twarze mieli takie, jak zwierzęta,
Już jakby Pańskiej męczarni nie godne
I przemienione przez bezczestne męki;
Nos wklęsł, a naprzód im wybiegły szczęki,
Jak gdyby kąsać chciały, jakby głodne.
Każdy miał taką czaszeczkę łakomą,
Dziób jaki na żer, w oczach takie skrzynie,
Żem pomyślała jako po łacinie
Mój ojciec w czasce ludzkiej czytał: h o m o...

Tu pokazała mi na nos i wzroki
Jak człowiek, który gestem powieść krasi;
A ja postrzegłem w oczach dół głęboki,
W złomach jej twarzy wyraz jakiś ptasi: —
Wstrząsłem się cały — zadziwienia krzykiem
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem.

— Te próby, rzekła, wściekłego Biskupa,
I różne męki przezeń wymyślone
Zniósłszy, byłyśmy nareszcie pławione...
— Matko! krzyknąłem — jako czarownice?
A ona: — Dziw się katów wymysłowi!
Był staw, jezioro, puste okolice,
Jakby przystojne męczeństwa duchowi,
Nad brzegiem jego wierzby jak upiory...
Tam nas, bywało, zaszywają w wory,
I tak zaszyte obwiązują liną,
A potem diaczki w łodziach wprzód posłani
Płyną i płyną, daleko, daleko,

I na tych linach wleką nas i wleką,
A popy krzyczą: pastoj! albo: tiahni!
Słyszę — dziś jeszcze — tę straszną komendę,
Słyszę, jak we mgłach smętnie się rozlega.
Lud się, bywało, po nad brzegi zbiega,
A my, jaskółki pobrane na wędę,
W tej czarnej wodzie po pas, to po brodę...
Cóż robić? — boską całujemy wodę
I milczym...

Dobrze to, kochanku, pływać,
Lecz strasznie, gdy cię w toń linami wloką.
Otóż tam — słuchaj — już mi się na oku
Anieli Pańscy jęli pokazywać —
A nie myśl, żeby widma jakie złote,
Albo zjawienia... lub gwiazdy i róże...
Nie — Pańscy jacyś posłańce i stróże,
Przysłani na tę okropną robotę,
Jacyś anieli, mówię, w ludzkich ciałach,
Co przez litosne patrzali się oczy.
Wśród tłumu zjawił się nam na uboczy
Szlachcic — ubrany w szarych samodziałach,
Ekonom niby — ale ja ci ręczę,
Ja tobie ręczę, synu, że ten człowiek,
Kiedy chce, strzela piorunami z powiek,
A z ramion, kiedy chce: rozwija tęczę...
Stał zawsze cichy i patrzał na popy,
Na nas — a wszystko poważnie uważał,
A mnie cichością swoją tak przerażał,
Że dziś go widzę — słyszę jego stopy.
Na milczącego więc kiedy zwrok rzucę,
To on w bok spojrzy, albo brwi podniesie,
Drogę mi niby pokazuje w lesie,
Oczyma mówi: żyj, bo ja powrócę!
O ten to człowiek jeszcze dotąd widzi —
A to, co widział, pewnie Bogu powie.

Raz się już zbiegli z miasta nawet żydzi,
Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,

Bo się rozniosło, że my bardzo głodne,
Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,
W gliniastych mułach i w traw wężowisku
Grzęznąc — zielone, jak grynszpany – chłodne.
A krzyki „pastoj!“ na tych, co na łodzi —
A krzyki na nas: „która z was przechodzi?“
I znowu krzyki na łódkarzy: „tiahni!“
A sznur się prężył i naszemi głowy
Pluskał po wodzie... Do swego Jehowy
Wrzasnęli wtedy wielkim krzykiem żydzi,
Myśląc: usłyszy, jeżeli nie widzi!
Dobre żydziska, dobre żydowice
Lamentowały: Aj wej! bijąc w łono...
Nu! one głodne — pomarzną — potoną...
Nu! a gdzie Pan Bóg — a gdzie błyskawice?
Czemu nie biją?... Słuchaj, gdy, bywało,
Te żydy lament okropny zawiodą,
To serce moje, o tak aż skakało!
O tak! skakało me serce pod wodą;
Bo ci powiadam, że są jakieś czary
Dziwne w modlitwach nawet obcej wiary;
Chwyta cię obca, jak matczyna ręka,
Łzy w oczach stają — i coś w sercu pęka...
Biedne żydziska —

Raz taki był lament
I taka niby muzyka wspaniała...
Ja z wody, zda się, że święty sakrament
Widzę na niebie, takem rozjaśniała —
Wtem woda plusła nagle i zalała
Jedną mniszeczkę... Powiadam ci, smoki
Te sznury czarta — biły wód zwierciadło,
I jedno moje dziecko, o dwa kroki,
Jedno maleńkie dziecko mi przepadło!
Krzyknęłam — i mróz przeszedł mi przez kości;
W takiej to wszystko stało się cichości;
Nikt nie obaczył — a choćby widziano,
Niktby nie skoczył z ratunkiem pod wodą;
Żywot tam ludzki tyle szacowano,

Że my już nawet nie byłyśmy trzodą;
Czy które pomrą, czy które utoną,
Nikt nie dbał — głów już naszych nie liczono.

Wyznam ci teraz, że mię po tym zgonie
Strach zdjął i zgroza dla ludzkich bezwstydów;
W około czarne, ołowiane tonie,
Tam gdzieś pisk popów — a tam gdzieś wrzask żydów;
A tu podemną trup — nie wyszła dusza!
Może się jeszcze gdzieś pod wodą rusza,
Może swe oczki we krwi jasnej kąpie;
A mnie tu ciągną dalej za obróżę,
Co krok to może na biedną nastąpię,
Może nastąpię — oczy tylko mrużę,
A ona gdzieś mię, ach! za nogi trąca,
Zimna - jak z wosku biała — i świecąca...
O strach! a tutaj ciągle prężą sznury,
Ciągle nas wloką w głąb i krzyczą: „tiahni!“
Już tylko nasze na wodzie kaptury
Jak stado kaczek — już noc na otchłani,
Już jakieś dziwne, czerwone chmurzyska
Nadchodzą na tę mękę tak okrutną...
A tak mi zimno, głodno — a tak smutno,
Że ot już chciałam pożreć te sznurzyska
Tam, i na poły niemi zadławiona
Buchnąć w tę wodę — przepaść, jak zginiona...
W oczach już moich niebo nie świeciło;
Żadnego blasku — łez żadnych nie było;
Już ogłupiała myślę tylko o tem,
Jakby się zalać wodą, najeść błotem,
Bo taka głodna byłam, tak pożądał
Mój głód, chociażby maleńkiej okruchy,
Że mi aż z oczu ognisty wyglądał;
Tak się łamały we wnętrznościach duchy,
Jak ci czartowie, węże z krwawą twarzą,
Które pod krzyżem z ciał ludzkich wyłażą..

Wtenczas już widok okolicy dzikiej,
Naszej męczarni — błotnisk — pławby — popów —

Poruszył nawet i żydów i chłopów;
Powstały głośne przekleństwa i krzyki.
I raz żydówka jakaś na brzeg bieży,
Obwarzankami złotemi świecąca,
Jak matka wpada, rozrywa żołnierzy
I karabiny w koziołkach roztrąca,
Deszcz poszedł srebrny — pył jak z kopca śniegu
Z tych karabinów, rozbitych, a ona
Już nad nami, już na samym brzegu,
Obwarzankami złota i czerwona,
Podniosła ręce — i tak jak żniwiarka
Tych obwarzanków nakryła mię snopem...
Ja wtenczas jako Noe nad potopem,
Kiedy pod tęczę już wchodziła arka,
Podjęta szczerą tej kobiety troską
I zachwycona jej myślą matczyną,
Ujrzałam, mówię tobie, Matkę Boską
Jakby nad całą już polską krainą!
I z wód podniosłam ku niej moje dłonie,
Krzycząc: O! Polskę moją całą ratuj, złota!
I do niej wzniosłam dłonie, jak sierota,
W tych obwarzankach jak w złotej koronie.

Odtąd nie śmieli już więcej biskupy
Otwarcie czynić z nami takiej hecy,
Ale w klasztorze, jak na dnie fortecy,
Dręczyli żywe i chowali trupy —
Ku mnie zaś siła przystąpiła boża
I odpędzała odemnie te katy...
Możem zeświętła tą koroną zboża;
Może przez moje bolesne stygmaty —
Nie wiem: lecz pop już uciekał przedemną,
A uciekając sztyletował wzrokiem...
Bywało, kiedy w korytarzach ciemno,
To mój krok bywa najgłośniejszym krokiem,
A chody popów, jak wężów szelesty —
Tu i tam ślepie migocą i chresty.

Nareszcie dolne nam oddano cele,
I tam już, same, w głodzie zostawiono.

Dwa garnce grochu, bywało, ja dzielę,
Wawrzecka sagan stawia i groch warzy.
A, mój braciszku, nie tłusto i słono
Jadłyśmy... ale było nam do twarzy,
Bośmy utyły na suchej grochówce
I były silne jak aniołów hufce...

I zaraz wszczęły się jakieś narady,
Co czynić — czego próbować?...
. . . . . .

Na tem stanęło, że my trzy najzdrowsze
W poselstwo wielkie pójdziemy do świata —
Niektóre chciały czekać wiosny, lata,
Lecz my, na wiatry duchy najsurowsze,
Jak stare Polki zaraz ruchu chciwe,
Pozapalane — w ogniach, niecierpliwe...
Ciągle, bywało, kręcim z koszul sznury,
Ciągle gadamy: jak, co, gdzie i kiedy?
Wtem raz mię jeszcze Bóg w popów pazury
Dał, a wybawił jak owieczkę z biedy.

Pod wieczór idę po wodę z saganem,
A prawdę mówiąc, to wyszłam na zwiady.
Patrzę, przy pompie sam Biskup z polanem —
Choć grozą jasny, lecz jak papier blady.
Przy nim popiska, krwią po rękach cieką,
Kije czerwone — znać, że kogoś bili —
Kręcą się — szemrzą, czasem sobie szczekną —
Chodzą jak gdyby głowy potracili.
Zbliżam się cicho — aż widzę unitów
Księży — pod pompą, z krwią jeszcze na brodzie;
Nadzy już leżą, jak trupy na lodzie,
Czarniejsi od tych lodowych błękitów!
Patrzę — co? a im woda na łby ciecze
I marznie — że tak poranione głowy,
Jakby zamknięte w puhar kryształowy,
Skrzą się — a brody twardnieją, jak miecze.
A nie słyszałam jęku ani krzyków,

Tylko te ruchy straszne spazmatyków.
A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,
Że stali, jako wielkie trupy — złote
I poplamione sińcami i krwawe —
Niby przysłani na ciemne podwórze
Jacy okropni Aniołowie-Stróże.
Daruj — lecz widząc te święte osoby,
Rzekłam: czy to wy, o biedacy głodni,
Coście w tak skrzące powchodzili groby,
Że mi jesteście tu nakształt pochodni?
Mówcie: ja wasze poniosę żałoby
Na świat — jasności, złotych trumien godni!
Bóg też wspomionął na pokorną cnotę
I oto wam dał takie trumny złote.

Tak ich żegnałam — a postanowiłam
Mniszeczek moich nie jątrzyć boleścią,
Ale aż na świat pójść z taką powieścią,
Aby świat wiedział, skąd idę, gdzie byłam,
Jaka swawola w popach wyuzdana
I jak katują wierne sługi Pana.

Wreszcie nadeszła ta noc pożądana,
Że cała ciżba popów, czernic pjana
Padła, snem ciężkim zdjęta, jak ołowiem.
Wszyscy morderce! Toż jednakże powiem,
Że jedna z czernic dobre serce miała,
Często ukradkiem do się zawołała,
A dała grochu, soli albo kłosów.
Patrzaj — mam jeszcze od niej krzyżyk włosów.
Ta jedna, sądzę, przeniknęła skrycie,
Że nam obmierzło już w niewoli życie,
Że już ot... wolność nam w naradach wschodzi,
A nie wydała — niech jej Bóg nagrodzi!

Otóż wylazłszy po drzewach na mury,
Prędkie skoczyłyśmy aż na dół z góry,
Wiatry nosiły nas — i zwolna kładły,
Bośmy z trzeciego aż piętra upadły;

I zaraz, jako ptaki przestraszone,
Śnieg otrzepawszy z odzieży jak pierze,
Każdaśmy poszły szybko w inną stronę,
Myśląc, że gonią popy i żołnierze.
Nic nie pamiętam, czy skrzypnęła brama,
Czy też duch jaki pędził strachu dłonią:
Ale sądziłam, że mię wiatry gonią
I już dwie mile jak wiatr biegłam sama.

Tu się zaczęła nowa dla mnie męka.
Gdzie iść? — nie znałam ni drogi, ni strony,
Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,
Dziwiąc się biedna, że ptaszków piosenka
Tak tam wesoło w lesie dzionek wita.
Ja mędrsza bardzo od ptaszków kobieta,
A taka smętna.....

Weszłam nareszcie raz do jednej chaty,
Gdzie nakarmiła mię dobra niewiasta;
I zobaczywszy na mnie siwe szaty,
Spytała: Pewnie na odpust do miasta,
Matko? — Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie,
Bojąc się wtenczas bardzo Pana Boga;
Co tu rzec? Smutek objął mię i trwoga.
Ona mówiła do mnie tak przyjaźnie,
Pocałowała mię jak matkę w ramię,
W imię przyjęła boże... a ja skłamię?
Wszakże już w myśli pełna tego dymu,
Który ćmi oczy, gdy duch w mocy wzrasta,
Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,
I rzekłam: idę na odpust do miasta.
A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę,
Bo ta kobieta rzekła: to nie blisko!
I zaraz miasta mi dała nazwisko
I powiedziała jak najbliższą drogę;
Wszystko dar boży.....

Potem o trzy mile
W lesie idącą spotykam kobietę.
Ta się tak do mnie uśmiechnęła mile,

Że w tym uśmiechu serce, jak odkryte
Serce na dłoni. Z tą ja w rozhowory —
A ona: Wiesz ty, co słychać w Dziedziołach?
W strachu są wielkim podleśne klasztory —
Popy biegają tu po wszystkich siołach
I rozsyłają po drogach opryszki
Łowić ubiegłe trzy Polaczki mniszki.
To słysząc, z twarzą już bolem cierpliwą,
Rzekłam: A czy już którą ułowiono?
A ona: Pędząc żołnierze tą stroną,
Znaleźli przy mnie jedną, lecz nie żywą.
Mówią, że sama najstarsza, u ścieku
Jednej rzeczółki leżała śród mostu.
Ot może tego, matko, jak ty wieku,
Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu.
Właśnie gdy dońce stali przerażeni,
Nadbiegła w pogoń Biskupa kolaska.
Wysiadł i krzyknął: że to sama Ksieni,
Sama klasztoru Ksieni Mieczysławska!
I kazał ścierwo rzucić do strumieni.
Praszczaj! — I ścieżką poszła w głąb pustoży. —
Za odchodzącą patrząc w sosen cienie,
Rzekłam: to boskie było ostrzeżenie!
To anioł boży!
A ten trup zaraz mi zastąpił w głowie;
Bo pomyślałam, że się on nie rodził,
Lecz go rzucili z nieba aniołowie;
Że Bóg nim drogę goniącym zagrodził.

Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,
A jeszcze mię raz Bóg tylko spróbował;
Taki mróz spuścił, że aż ze źrenicy
Krew szła. Gdzie spojrzę, lasy — drwa na pował,
Ale zapalić nie ma czem ogniska.
Skostniałam — chleba nie miałam okruchy...
Wtem patrzę: jakieś przy lesie pastuchy
I niespędzone owieczki z pastwiska.
Wolałam ludzi uniknąć tą razą,

A u tych owiec rozgrzać moje ciało;
Jakoż się mnóstwo matek nazbiegało
I na me nogi zimne jak żelazo
Kładły swe ciepłe łona — swe kożuchy...
Tak, że ja temi niewinnemi duchy
Byłam ogrzana od nóg aż do twarzy
I uzdrowiona, jakby przez lekarzy.

— I tu umilkła — w górę tak patrząca,
Żem ujrzał srebro białego miesiąca
I tę zalaną radosnemi łzami,
Wpatrzoną w miesiąc między owieczkami.
O! cudnie polski otwiera nagrobek
Ten nowy Pańskiej męczennicy żłobek!

— To wszystko... Teraz tu biedaczki moje,
Oto widzicie, jestem z wami — stoję
Gotowa chociaż jeszcze trochę chora,
Gotowa, mówię, iść napowrót w drogę...
Tylko się spieszcie, dziatki — bo dziś pora,
Dziś... więcej mówić wam teraz nie mogę!

To jest historya cała mojej męki
I całej mojej tej biednej podróży.
Widzisz, kto Panu swemu wiernie służy,
Ten się dobywa cały z katów ręki.
Tu jestem z wami — lecz ci wyznam szczerze,
Że chciałabym się już dostać do Rzymu;
Tu wszyscy dobrzy — mam kadzideł, dymu,
Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę.
Przychodzą jacyś... jakby dziś z puchówek
Powyłazili — warzeni w dekokcie.
Patrzą, trefionych przekrzywiają główek,
Wzdychają w niebo i czyszczą paznokcie,
Słuchaj — ja prosta jestem, poraniona...
O! gdyby tu też gdzie jaka serdeczna
Z doktorem swoim poważna matrona,

Z dziećmi... ja dzieci lubię, jestem grzeczna...
Nie! — wczoraj jakaś słodka jak patoka,
Z migreną w głowie, z bólem w każdym członku,
Hrabina... tak tu spojrzała z wysoka,
Jak gdyby miała sakrament w pierścionku.
Ona tam może bardzo Bogu miła,
Lecz szczebiotała o świętych jak sroka,
A oczki żółte, jak prążki mrużyła.
Wstałam — choć jeszcze na tę nogę chora;
A ona mi co? — po francusku gada
I prezentuje swego konfesora,
Młokosa, mówiąc, że dobrze spowiada...
Ot drugi raz mnie weź, w łańcuchy okuj,
A z temi tutaj ludźmi daj mi pokój!
Ja chcę do Rzymu — —

Rzekłem: O, mistrzyni
Bolesnych tonów, czarownego rymu!...
— Zakryłem oczy — Matko, jedź do Rzymu,
Jedź! twoje słowo może Rzym uczyni...
Lecz teraz ujrzysz na świętej fortecy,
Wyżej złoconych tyarą krużganków,
Błyszczące widma — by świętych młodzianków —
Pozastrzelane nikczemnie... przez plecy.
Ujrzysz ohydną wszędy cześć bałwanów,
Ujrzysz męczeństwo straszne ducha światów...
Może się spotkasz z ojcem twoich katów
I dasz mu pierwszy krok — do Watykanów!
A jeśli krwawej nie ustrzeżesz duszy,
A dasz ją jako wosk w tych ludzi ręce:
Królową ducha nam wyszłaś po męce,
Umarłą wyjdziesz po tamtej katuszy!
Albo jeżeli cię znowu gorąca
Dusza, jak matkę, porwie z tej mogiły,
To się uczujesz bez łez i bez siły!
Jeżeli święta — to już chyba klnąca...
Żegnaj — —

A ona swe oblicze blade
Wyszkliwszy na mnie: I gdzież ja pojadę?!
A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,
Że przy nim jednym — tamte tylko płaczą.

WARYANTY.

Autograf „Makryny Mieczysławskiej“, na podstawie którego uskuteczniono niniejsze wydanie, mieści się w zeszytach brulionu „Króla Ducha“ (bibl. Ossolińskich pod l. inw. rps. 1773, dar prof. A. Małeckiego).

Pierwsza część tego rękopisu, przepisana na czysto ręką poety, na listowym papierze zielonkawego koloru, liczy sześć stronic in 4^0 i sięga tylko do wiersza:

Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Obejmuje zatem jeno stokilkadziesiąt wierszy. Druga część autografu, mieszcząca utwór Słowackiego w całości, zawiera na 8 stronicach in folio zwykłego papieru, w dwóch kolumnach pisma, miejscami bardzo nieczytelnego, właściwy brulion, z którego prawdopodobnie miał poeta przepisać utwór na czysto, jak to uczynił w pierwszej części autografu. Z trudnością dało się dziś odczytać z tego brulionu miejsca wielce kreślone i kilkakrotnie poprawiane, nie mniej pracy wymagało ułożenie ustępów porozrzucanych w nieładzie, aby je módz jako waryanty tekstu ogłosić.

Pierwsze wydanie „Makryny Mieczysławskiej“ wyszło w „Dzienniku literackim“ we Lwowie 1861 r. Nr. 20, z następującym dopiskiem: „Opowiadanie tu

przyłączone pozostało między papierami po J. Słowackim nigdzie dotąd niedrukowane. Udzielił nam (Redakcyi Dzien. lit.) tego poematu p. Teofil Januszowski, wuj poety, który się obecnie zajmuje wydaniem kompletnem pism Słowackiego". Korzystałem z tej edycyi zarówno jak z następnej A. Małeckiego i z fragmentów ogłoszonych w „Warcie", co poniżej wyszczególniam. Wszystkie zaś przytoczone w waryantach wiersze Słowackiego wychodzą tu po raz pierwszy z pomienionego autografu poety. Drukuję je jako odmiany tekstu kursywą.

I. RZUT.

Do w. 1—16 *Bóg, — który drogi ludom powytykał*
I do narodów, gdy cud mi gada,
Ewangelię swoją sam wykłada —
(Przekreśl.: *Na to byś ciągle pieczęcie odmykał*) —
Posłał, nie przeto, abym ran dotykał,
Do męczennicy mojego narodu,
Ale po słowo boleści, męczarni i głodu
I po lilię cudownej woni,
Mego strasznego ducha posłał do niej.
W nocy widziałem jakąś dłoń nad głową
W ogniach, straszliwą jakąś rękę białą,
Z której promieni pięć wylatywało,
Dłoń oświecając jak pieczęć perłową.
Ta dłoń mówiła do mnie: Jestem słowem,
Ale nie mogę być jeszcze w objawie,
Bo nic nie gadam, tylko błogosławię,
W ogniach okropnych krwią skrzepłe, gorące,
Lecz słowo wieszcze i błogosławiące,
Które ty powiesz, syn świętego słowa,
A powiesz strachem wielkim taki biały
Jako był Mojżesz, gdyby mu Jehowa
Rękę był *tylko* pokazał ze skały.
(Posłał mojego ducha na pokutę
Aby te... w sobie przeczute...)

II. ODMIANA.

Do w. 1—28 Słysząc, że *tu nadleciał nam duch męczennika,*
Który słowy tak jako nożami przenika,

A opowiada jakieś najstraszniejsze dzieje,
Wszystkich budzi do płaczu a sam łez nie [leje,
Poszedłem, bym zobaczył, zwłaszcza, że mi [w nocy
Pokazały się jakieś światła dziwnej mocy
I ręka *niby jakiej czarownicy sucha*
Wołająca mię z ogniów gestem, strachem [ducha,
Żem *patrzał jako* Mojżesz, gdyby mu *niecały*
Bóg błysnął, ale rękę pokazał ze skały.

Myślę idąc: to pewnie jest sen i znak Boży
Błogosławieństwo na mnie ta ręka położy.
Upadnę na kolana przed męczeńską...
A ona oczy swe przyjemnie,
Pełne uśmiechu, obróciwszy rzekła:

III. ODMIANA.

Do w. 1—16 Słysząc, że *umie* nożami przenikać,
Gdy swe bolesne męki *opowiada,*
Szedłem — nie przeto *aby* ran dotykać
Przekreśl: *Ani doraniał zranionego ciała),*
Jak czyni podła Tomaszów gromada,
O ciało swoje nie o ducha drżąca,
Nigdy męczeństwu świętych niewierząca...

(Ostatnie wiersze przekreślone i dopisane u góry:

O ciało swoje drżąca, nie o ducha,
Nie wierna, jedno stygmatom łańcucha)
Ani świadectwo wydawał o ranach,
Ale był wierny jak syn na kolanach,
A jeśli trzeba, to odprawiał straże,
A jeśli mścić się, zapytał, czy każe...
Szedłem, ażebym dla mojego czoła

Wziął uświęcenie od ręki anioła.
Bo mi się w nocy *ta dłoń malowała*
Jakoby w chmurze zakrwawionej biała,
Straszna i w światłach taka dłoń perłowa,
Że mi na głowie wszystkie włosy wstały,
Wyrzucająca takie *z palców* strzały,
Jak Mojżeszowe, gdyby *sam Jehowa*
Rękę *mu* swoją pokazał ze skały...

(Ostatnie wiersze przekreślono i dopisano u góry następujące:

Bo mi się w nocy ta dłoń *zakrwawiona*
Pokazywała *promieniem czerwona*,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z *pięciu swych* palców, *że mi stygły* słowa,
Żem *był* jak Mojżesz, gdyby mu Jehowa
Rękę był Bożą *wyrzucił* ze skały)

Odmianki druku. Wiersz (W) *10.* Wyd. Małeckiego (M.) Lwów 1885. w Pismach pośmiertnych Słowackiego T. I. str. 193.: Wziął *uświęcenia.* Dziennik literacki (D.) Lwów 1861 Nr. 20. Wziął *uświęcenie.* W. 15. D. *kiedy* mu Jehowa.

Do w. 17—38 Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze,
U *obcych* — *czarnych* ludzi na gościnie,
Prostą niewiastę, *dobrą* gospodynię,
Jakobyś widział gdzie na własnym dworze
Matkę rządzącą dziateczek hałasem;
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem,
Widać, że klasztor, nie pod czarnym grzechem
Trzymany trupiał męczenników kością,
Lecz napełniony był złotą świętością
I rozwidniony tej matki uśmiechem,
A wszakże *mimo* tak wielką prostotę,
Mimo to dziwne z matką podobieństwo,
Kiedym się zbliżył, ujrzałem męczeństwo
Na *tej radosnej* twarzy *jak pozłotę,*

Uczułem siłę, która mi na ciemię
Spadła, od cichej twarzy z taką mocą
Jak *duch*, gdy rzuca *grzesznikiem* o ziemię.

(Ostatnie wiersze brzmiały pierwotnie:

I uderzyłem o ziemię kolany,
Już byłem nie swój — już jak obłąkany)

A wtenczas ona: Cóż, ziomku kochany?
Przyszedłeś mocno jak widzę wzruszony.
Siądź, *ja ci powiem*, że zamknięte rany
Lepiej *na głowie leżą*, niż korony.
Ty młody jeszcze, nie topiony w Niemnie,
A już ty bladszy mój synu odemnie.
W lochach głodzona o wodzie i chlebie
Wyszłam na słońce jaśniejsza od ciebie.
Widząc *was takich* w tej *jasnej* stolicy,
Sądzę, że i wy *pańscy* męczennicy.

W autografie, na czysto przepisanym ręką poety, (R) opiewa wiersz W. 38. przekreślony: *I wy jesteście tak jak* męczennicy. W. 25. D. *jeszcze*, przez złe odczytanie lub wydrukowanie wyraźnie napisanego słówka: *jasne*. W. 27. M. *mnie* zamiast *mię*, tak stale. W. 34. M. i D. *bledszy*, zamiast starszej formy: *bladszy*.

Do w. 39 i nast. Westchnęła.... a ja: Matko, powiedz — [proszę —
Czyś ty do boskich nie zaniosła tronów
Skargi na tyle *naszych* milionów?
Dwadzieścia! Gdyby to miedziane grosze,
Świat prawie kupić... Gdyby pozespalać
A każdy dał krwi maleńką kropelkę,
O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,
Świat *można tą* krwią *aż po szyję* zalać.
Gdyby błysnęły *tylko wszystkich* lica,
Świat *cały w świetle*! A ty męczennica,

Polka — i w *takim gdzieś skrwawiona*
[brudzie,
Nie, car nie winien, to winni ci ludzie.

A ona: Nie skarż *o zbrodnię* nikogo,
Ani ich — oni biedacy *nie mogą*,
Nie skarż ich — wszyscy pod *wielkim*
[uciskiem.
I chwila była okropna milczenia,
I w oczach było mi strasznie i ciemno.
Czułem, że *za mnie* cierpi i nademną,
(*Jakby drugi raz dźwigała kamienie*)
Drugi raz niby nosiła kamienie
I *żwir na kościół przeznaczony cudzy*,
Z taką boleścią nosiła me grzechy,
I rzekła: Synu, są wielkie pociechy
W kraju, bo co dnia rosną boscy słudzy,
I zaprzęgają się sami do krzyża,
A duch się święty, widomy, przybliża.
Są cuda i są jacyś nowi święci
Ludzie na lodach ogniem owionięci,
Niby w szelestach, blaskach i w otchłani,
Nagle przez ducha świętego porwani,
Tak że na łożach potem biali siedzą
(*Z rozczochranemi włosy jak...*)
Jakby upiory skamieniałe strachem,
A co się stało z ciałami, nie wiedzą.
Mówią, że piorun przeleciał nad dachem,
Że ktoś im głowę na dwoje rozpłatał,
Że światła weszły, błyszczały, dom latał,
Szyby brzęczały wszystkie, jak od gromu,
Był duch, sam Chrystus — wołają — był
[*w domu.*

Po wierszu: „Był duch... sam Chrystus — wołają — był w domu“ czytamy następującą, prozą napisaną, a po raz pierwszy tu ogłoszoną modlitwę:

„Teraz wiem, o Panie, iż te wszystkie gwiazdy, słońca i miesiące i globy, są objawieniem Syna — a w Tobie się Tylko czują Duchem, nie zaś ciałem,

ciała swe same sobie sprawiwszy — jakoby moce *twórcze* przez litery wyrażające moc swoją...

Teraz wiem, iż z tym światem ogromnym i mnie małemu duchowi ziemskiemu — o ile się w pracy (mojej) słowem ze słowem świata połączę — dawany jest ciągle duch święty, wiecznie przez Ciebie rodzony i przez formy Syna wiecznie odradzany — jednoczyciel najświętszy Ducha Stworzyciela z Duchem kształtów objawcą (objawionym).

Teraz czuję prawdziwą ziemskiego anioła pokorę — spojrzawszy na ten nędzny i bezsilny kształt, którym objawiłem Ci miłość moją — po tak długiej, wiekowej wędrówce.

O! ileżem razy musiał zaspać ranka, rozmiłowany w doczesnem trwaniu — w lenistwie ciała — z grzechu, który mię z mocy twórczej odzierał... ręce moje, słońca czyniące, obracał na kucie kamieni... myśli twórcze do celów małych, jednożywotnych zastosowywał — ażeśmy oto skarłowacieli: ja i bracia moi ziemscy — krzycząc: Boże, Boże! — bez żadnej wiedzy i bez żadnego synowskiego uczucia — prawdziwi nędzarze, ze strachem na podobieństwo nasze ze zwierzętami patrzący...

I pasiono nas jako trzody, od świętych swoich tajemnic odganiani daleko... I wieki mijały, a ludzkość ani krokiem jednym ku prawdzie Ducha nie postępowała. — Ażeś Ty nareszcie sam ogniami widzialnemi uderzył, abyś wywołał wiarę i wiedzę z maluczkich, którzy nigdy o zrujnowaniu wieków nie myśleli. — A oto ci teraz powołani są do odbudowania Jerozolimskiego kościoła.

Chwała Tobie na wysokościach, żeś po wiekach wspomniał na nędzne Syny Twoje — w glinie utopione — i podwyższył glob o stopień jeden wiary, wiedzy i mocy — odkrywając tajemnicę tajemnic: Przenajświętszą Trójcę Twoją, Stworzycielkę Ducha i Najświętszego Syna Twego, w którym — jako członkowie nieśmiertelni i tworzący się sami przez się za przydaniem Ducha świętego — mieszkamy —

Amen.

Teraz, wiedząc co jest grzech pierworodny, będę się strzegł, abym się nie zapalił jakim nagłym, z ciała idącym pożarem, i nie stanął przeciwko Duchowi świętemu buntownikiem... Lecz o rozjaśnienie wnętrza modlić się będę, aż w sobie stojącego, jasnego Chrystusa poczuję...".

W. 42. M. *Dwadzieścia*. W. 43. D. *Światła nakupić*, zamiast *Świat prawie kupić*. D. i M. mylnie odczytane: *pozapalać*, zamiast: *pozespalać*. W. 46. R. *Świat możnaby tą krwią czerwoną zalać*. Szyk zmieniony w tekstach dla gładkości rytmu. W. 52. R. i D. *Nie skarz, bo* oni biedacy *nie* mogą. M. Oni? — *Cóż oni* biedacy *tam* mogą? W. 60. R. Ona *z milczącą*. D. i M. Ona *ze smutną*. Poprawka dla uniknięcia powtórzenia słów: *milczące — milczenie*. W. 63. R... *Tak mię pocieszywszy nieco*. D. *I tak mnie matka* pocieszywszy nieco. M. *Ona więc* tak mnie pocieszywszy nieco. Poprawki wydawców dla dopełnienia 11-zgłoskowego wiersza.

Do w. 67 i następnych. Ustęp niniejszy następuje w autografie po słowach: „Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem i wytrwałością" i zaczyna się od słów: „Raz nam do klasztoru wieść przyszła, że nasz biskup zmienił wiarę" i t. d.

Strach jakiś przewiał *okropny* kościołem
I *rzucił na nas pierwszą swoją* siłę —
I przerażone *upadłyśmy* czołem —
Potem ja sama *mniszki moje młode*
Uspokoiwszy, rozesłałam w cele,
(Przekreślono: *Uspokoiłam... posłałam do celi*)
A sama w *ciemnym zostałam* kościele,
Sądząc że *Pan Bóg wotywy wysłucha,*
I postawiłam widmo rudobrode.
(Przekreślono: I na intencyę —)
Rzekłam, *że sobie* na pamięć przywiodę
Jaką ten biskup twarz ma, i na jawie
W oczach go sobie, jak mówią, postawię,
A potem zacznę próbować oczyma.

Przekreślono: Więc z płaczem suszyć przyrzekłam we [srzodę)
(Przekreślono: zam. oczyma: W oczach — i tego stra- [sznego biskupa zaczęłam niby...

Do w. 74—77 *Wszystkie upadłyśmy jak dmuchaczem zwiane*
U stołu dziecka karciane żołnierze,
Ja sama — pomnę — gdzie na głazach leżę,
Tam krzyż spotniały zostawiam, gdy wstanę.
Po takich modłach raz sama się jedna
W ciemnym kościele zostawszy...

Do w. 83—86 *I dziwnie* strach *mi taki* serce ścisnął,
Bo stanął, spojrzał i oczyma błysnął,
(Przekreślono: „Żem go ujrzała")
A oczy były od zwyczajnych różne,
Jak szkła świecące, wypukłe i próżne.

Do w. 87—90 *Klasztor ociemniał, jakby osamotniał,*
Mniszeczki krzyżem padają i leżą.
Ja sama — tak pot przechodzi odzieżą —
Gdzie leżę, tam krzyż na ziemi wypotniał.

Do w. 91 i nast. Wedle autografu druk. „Warty" następują te oto waryanty:

ODMIANKA I.

Wkrótce przyjechał *ten odmieńca boży.*
Ja tylko w oczy spojrzałam zielone,
A już mię przebił strach tysiącem noży,
Już prawie złotą, męczeńską koronę
Ujrzałam w palmy kwieciste i róże.
. . . . . .

ODMIANKA II.

Do w. 91—103 Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny
Biskup — *blask lejąc* z krzyża czerwonego.

Ja tylko wtenczas spojrzałam na niego,
A wnet ujrzałam na nim ruskie czyny:
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Szkliste, wypukłe, wyraźne, roztropne,
A już choć słowy podchodził z daleka,
W oczach widziałam wszystko, co *mię* czeka.

Po tylu latach męki i konania
Już nie powtórzę dziś jego rozmowy —
To tylko powiem, że do przekonania
Starał się trafić słodziutkiemi słowy —
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra.

ODMIANKA III.

(z autografu bibl. Ossolińskich)

Do w. 91—115 *Nazajutrz taki sam trupisko prawie,*
(Przekreślono: *I wierzysz Acan, że taki sam prawie)*
Jakiego sobie w oczach malowałam,
Przyjechał. Widząc, już widząc zadrżałam
I nie na ręce, ale na rękawie
Złożyłam korny siostry pocałunek,
(Przekreślono: *Złożyłam usta moje całujące...*)
A już od niego czułam *jakby* trunek,
Zły zapach, jakby oksyd i stęchlinę.
(Przekreślono: *Czuć coś jakby trunek, jakby, powiedzieć,* [stęchlinę).

Tego, kochanku mój, ci nie rozwinę
Jakiemi słowy ten zaprzaniec boży (przekre-[ślono: *nieszczęsny*)
Próbował, czy mnie grzeszną upokorzy,
Czy kupi — mówię — Sztuczka *jakaś* chytra,
Próbował i słów magnetycznych ze mną.
W rozmowie były: krzyż i biała mitra,
(Przekreślono: *Dawna ta ruska* mitra
Słowa mówione z trwogą potajemną,

Szemrzące (błyszczące), *jakby* węże, skórą
[suchą,
Ciche, łudzące i szeptane w ucho,
Szalone słowa. Wzrok miał obłąkany —
Szeptał te słowa, mówię ci, szatany,
Nikt o nich nie wie, *serce tobie same* jedzą,
(Przekreślono: gdzieś pod *ziemią* siedzą)
On tylko jeden i szatany wiedzą,
Jakie to słowa (*ogniste podniety*) *strute*, ślepe
[krety)

Na boku ustępu, zaczynającego się od słów: „Nazajutrz taki sam trupisko prawie“ dopisał poeta następujące wiersze, należące do w. 83—5.

Jeżeli wali się, jak trup nad Litwą,
Z której go strony podeprzeć modlitwą.
I tak myślałam, a strach mnie przycisnął,
Bo jeden klawisz pęknął na organie,
A trup ten wyszedł jak na zawołanie.
Stanął przedemną — w bok oczyma błysnął
I oczy wyszklił od zwyczajnych różne.

W. 100. R. *Już* nie powtórzę *dziś jego* rozmowy. D. i M. *Dziś* nie powtórzę *pierwszej z nim*
[rozmowy.

W. 102. D. *prożbą* zamiast: *groźbą*. Widoczna omyłka.

Do w. 116 i nast. A on też *groźny* ton wziął ze mną zaraz:
Będziesz — powiada — *miała tu* ambaras.
Schyliłam głowy, a on się pokłonił
I wyszedł.
Wtenczas ja zebrałam mniszki
I przysięgłyśmy (sobie) *choćby pod żelazem*
I pod toporem choćby, skonać razem,
A za to straszliwe (*A już te podłe*) biskupy
(opryszki

Mocować, póki *sił* żywota stanie,
W śmierci zaś (*A w śmierci*) westchnąć
[i modlić się za nie.

Do w. 126 i nast. Trudno ci będzie już *teraz* opisać
Jakie to były *u nas mniszek* trwogi.
Jedne radziły do Rzymu napisać,
Drugie *lochy naładować prochem*,
(Przekreślono pierwszy rzut pióra:
Drugie: *zapalić, choćby klasztor cały.*
(Przekreślono drugi rzut pióra:
Drugie — *dziwnym strwożone popłochem*
Rycerki — lochy naładować prochem)
Beczkę postawić pod Bogarodzicę
I straż *odbywać z ognistą* gromnicą,
Wszystkich wysadzić — krzyk, wrzask —
[wszystkie radzą.
(Przekreślono: *I ciągle tam straż odbywać z gromnicą*
Radziły — na gwałt — to się z błyskawicą...
Jam to wszystko kryła.
Te wszystkie myśli moich niewiniątek
Jak kroki głupich, straszonych kurczątek —
I wszystko w sercu tu mojem chowała,
Ale boleśna...)
Wszystkie — najlepsze pokazują chęci,
Lecz gdy mi z poczty papiery oddadzą,
A ja się *tykam* rządowych pieczęci —
Truchleją — trwogi mają i dreszcze ciała,
Strwożone *nawet tym* laku zapachem,
Gdy łamię pieczęć z takim strachem,
Jak gdybym święty sakrament łamała,
(Przekreślono: Nim te pieczęcie czerwone rozłamię,
To mi na palce patrzą z takim strachem
(*To patrzą i drżą...*)

W. 119 M. mylnie: Ja też wnet *zebrałem* mniszki.

W. 136. M. Dowolnie: Ja się *lękam* rządowych pie-
[częci.

W. 137. R. To stoją blade — *drżące z dreszczem* ciała. D. To stoją blade — *nieme z dreszczem* ciała. M. To stoją blade — *nieme dreszczem* ciała.

Do w. 141 i nast. Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:
Odmienić wiarę lub *gotować w drogę*...
Gdzie? Co? Nic więcej. Uczułyśmy trwogę,
Jak gdybyśmy szły w ciemność na *sen* [wieczny.

Do w. 145—50. Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,
Czy gdzie w łańcuchy? czy gdzie na wy- [gnanie?
Czy gdzie na nędzę i na wiatrów szturmy?
(W śniegi, na wiatrów i zawieruch szturmy?
W kibitkach przyjedzie...)
Czy może pod sąd rosyjski, do turmy?
Na Sybir — któżby się o nas upomniał!
Będzieli biczem kto bił, czy zamykał?
Czy jaki *straszny zadadzą* kryminał?
(Dopisano u góry: *A może wezmą i wsadzą* do turmy
I tam oskarzą o jaki kryminał?)

Do w. 153—4. Ta ciemność wielka w rządowym papierze,
Która *bez twarzy, tak jak duch* groziła.

Do w. 155 i nast. Waryant z autografu, ogłoszonego w „Warcie“ poznańskiej.

ODMIANKA I.

Wszystko, co potem *przyszło z Boga ręki,*
Te dopuszczenia — to nic, mówię tobie,
Nic, w porównaniu tej piekielnej męki,
Którą duch w trwodze zadaje sam sobie,
Nic, gdy się męka widzialna zaczyna,
Gdy ci już wrogi stoją przed oczyma...

ODMIANKA II.

(z autografu biblioteki Ossolińskich)

Pan Bóg nas wtenczas strzegł. Wszystko *co*
[potem,
Było przynajmniej już jasne, widome...
Ale ta pierwsza zagrożeń *godzina*,
Gdzie *nigdzie* wsparcia — z nikąd — a
[strach wszędzie,
Strach jakiś kary wielkiej i pojmania,
Ta pierwsza była nie do opisania,
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Wtenczas pobiegłyśmy wszystkie do nieba,
I rozpaliwszy serca jak pochodnie,
Wszystkieśmy na to pozwoliły zgodnie:
Porzucić klasztor i kraj — jeśli trzeba —
Iść, gdzie rozkażą, i z Bogiem się zgodzić —
I choćby przyszło po gadzinach chodzić,
I wytrwać wszystko... (Przekreślono: *i* po *ogniu* chodzić, to wytrwać *mękę*...)

W. 157. M. *Nic* takim strachem. (Zapewne omyłka druku). D. na *duszę* spadło. R. i M. za *dusze* spadło.

W. 169. D. Cierpieć? My *cierpień* byłyśmy łakome.

Do w. 184. I w słowach niby rozognionych rosła:
Wtem przyszedł jeden ksiądz korny, ponury
I rzekł: Laudetur Jesus...

Do w. 188 i nast. Jasny, spokojny, *jaki był* w Chrystusie.
Więc zaraz *ton zniżywszy*...

W. 193. D. Kilka *mąk*.

Do w. 194. *Że byłam* sama przełożoną, ksienią.

Do w. 203—216.... Przyszedł dzień ofiary —
Sam Biskup zjechał, *zebrał w refektarzu,*
Wszystkie my stały tak drżące jak liście;
Ja *sama* jeszcze nie nabrałam wiary
I byłam w sobie zmieszana, zalękła
I ściemniona głowy *jakoby* zawrotem
I serce *we mnie* biło jakby młotem.
Myślałam, że gdzie *o tu!* żyła pękła,
I zwolna sączy krew, a ta gęstnieje.
— Umierającą tak widziałam mniszkę —
Więc nie wiedzącą co się w ciele dzieje
Myślałam, że krew *ciecze tu na łyżkę,*
Kapie i skończy kapać i zaleje...
Ziębnę — co będzie jak trupem upadnę.

(Zamiast ostatnich wierszy, czytamy maczkiem u góry dopisane wiersze:

Słuchałam, a już coraz — czuję — bladnę,
Strach, *że zatrwożę wszystkie siostry* moje,
Jeżeli *trupem ja martwa* upadnę,
A one...
I przed biskupem żywa już dostoję...

Przekreślono pierwotną wersyę:

I dziw, cierpiałam męczarnie szkaradne,
Myśląc co będzie, gdy trupem upadnę.

Do w. 217—222. Ale Bóg dobry — *O! Ale* Bóg dobry!
(Przekreślono: *Pan* Bóg dobry! *Pan* Bóg dobry!)
(D. O, Pan Bóg dobry. O! Pan Bóg jest [dobry).
Zaraz mi weszło coś do serca mocy.
Ha! pomyślałam: z Mieczysława Chrobry,
Z Mieczysławskiej głaz z Dawida procy,
Niech *mię próbuje szelma* — choćby bito!
Dałam krok naprzód: niech walczy z kobietą!

Drugi waryant tego ustępu opiewa:

O! Bóg dobry! *O!* Bóg dobry!

Zaraz mi *przyszła w pomoc jego łaska.*
(Przekreślono: Zaraz *mi dodał odwagi* i mocy)
Ha! pomyślałam, z Mieczysława Chrobry
A z Mieczysławskiej *kości Mieczysławskie.*
(Przekreślono: *A ją w Chrobrego jak w Dawida paszczy,*
Ja *Mieczysławska dam duszę krwią zmytą*).
Dałam krok naprzód — Cóż, choćby mię
[zmyto,
Stanę mu twarz w twarz — *Czarcie, walcz*
[z kobietą!

ODMIANKA I.

Do w. 223—8. *I znów stanęłam cierpiąca nieznośnie.*
Uczułam, że *tem* ducha *poruszeniem*
Ów czart straszliwy, radując się, rośnie
I gotów płomień odeprzeć płomieniem,
Więc *znowu cała przypadłam do Boga*
I pochowałam nogi jak stonoga
Do serca nogi — tu, w serce — po Boga.
Przekreślono: Więc znowu *w siebie cała jak stonoga,*
Gdy schowa nogi — tu w serce, po Boga.

ODMIANKA II.

Nagle uczułam, że ten poryw ducha
Przydał Siemaszce odwagi i *mocy,*
Więc znów zacięłam zęby, *jak głaz głucha,*
Znowu do ciała jak na dno mogiły,
Znów się zebrałam w sobie jak stonoga,
Cicha, do serca *znów* poszłam po Boga,
(Zalękła *znowu* do serca po Boga).

W. 225—8. D. Więc znów zacięłam zęby — zimna,
[głucha,
Znowu do ciała, jak na dno mogiły,
Nogi zabrałam pod siebie, stonoga
Zalękła — i znów do serca po Boga.

Do w. 229—271. *Wtenczas on z ogniem złotym jak jaszczurki,*
Z uśmiechem niby modnego tancerza,
Z miodowym tonem: A cóż moje *córki?*
Cóż? Czy nie chcecie zgody i przymierza?
My nic. On *znowu wyszklił* oczy szare
I patrząc w młodsze rzekł: Cóż? która *woli*
Hańbę niż bliską i braterską wiarę?
My nic. *On zaczął się pienić powoli;*
Westchnął — oddechu wciągnął w *straszne*
[płuca,
Czekał, nareszcie podniósł ton i wybuchł:
Cóż! Czy chcecie przejść — wykrzyknął —
[na wiarę?
Więc *już jak* rynna, gdy błoto wyrzuca,
Parsknął i krzyknął: Cóż, czy przychodzicie?!
Wymówić reszty...

Przekreślono: Siostry mi potem mówiły, że w miarę
Jak się zapalał i *w pogróżkę wpadał,*
One już radość — jakąś czuły wiarę,
Różane moje biedne siostry święte.

Przekreślono: *Wtenczas pokazał nam dekret cesarza* —
Wtenczas *nie było już więcej* oporu —
Poszłyśmy wszystkie milczące do chóru,
Uklękły.

Do w. 229. (II. Odm.) *Wtenczas Siemaszko jakoby* jaszczury
i t. d. jak w tekście

Do w. 234. *Chcecie* przejść wszystkie na braterską wiarę.

Do w. 236 i nast. Obrócił na nas, ale już złowrogie
I znów zapytał jeszcze słodszym głosem:
Która z was życzy sobie lepszej doli
A weźmie... *Z oczu* rzucił pękiem knutów.
My nic. *On wtenczas zgotował w sobie,*
Jakby grynszpanu połknął kilka łutów.
Zbladł, jak drewniany kościotrup w żałobie,
Zaszczekał, szybko wyleciał przed nami,
Kośćmi klekotał *w sobie jak drewnami*
I zadyszany wybiegł, ze krwią *charknął*

Rozkaz Moskalom stojącym na dworze,
A echo od drzwi *za nim* po klasztorze
Grzmiało, jak gdyby piorun *boski* runął.

W. 253. D. Widzę go teraz — skry mu z oczu biegą,
A w pysku taka wścieklizna, szkarada,
— Ja was, zakrzyknął, w powrozy, w łań-
[cuchy.

Do w. 254—5. Jakgdybyś widział gdzie żebraka dziada,
Który na *psy się* szczekające gniewa.

Do w. 259—265. Wywierał na nas wszystko i wymiotał.
My nic. On wtenczas porwał krzyż, zdru-
[zgotał,
Zaczerniał, krząknął, krwią *na ziemię* splunął
I wybiegł, drzwiami *trzasnąwszy na dworze,*
(D. I wybiegł - - drzwiami *trzasnął,* krwią
[krząknął i plunął)
A echo *takie* poszło po klasztorze
Jak gdyby piorun za biskupem runął.

Tu następuje ustęp: „Nie wiesz boleści, gdy rzucać przychodzi“ i luźnie rzucone zdanie: „Takich objawień tysiące może stanąć, ale prawda jedną jest. W tych słowach wszystko przez ducha i dla ducha.“

I. ODMIANKA.

Do w. 270 i nast. *Więcej żadnego nie było* oporu —
I musiałyśmy pod ruskim bagnetem
Wychodzić wszystkie, w biały dzień, z kla-
[sztoru.

II. ODMIANKA.

A w ten czas, *synu,* już nam bez oporu
Przyszło wychodzić z naszego klasztoru.

III. ODMIANKA.

A potem bęben ruski i bagnety...
Cóż było robić! Niezdolne oporu
Wyszłyśmy wszystkie z naszego klasztoru
Pieszo — O wszystkiem pisały gazety...

IV. ODMIANKA.

A my po *sobieśmy wtenczas* spojrzały,
Oczyma mówiąc *do siebie to słowo,*
(D. Oczami mówiąc: To wąż lewijatan)
Żeśmy szatana zexorcyzmowały
(D. Żeśmy szatana *exorcyzmowały*)
I zbiły jego potęgę gromową.
A wtenczas już nie było *żadnego* oporu
Przed żołnierzami — *trzeba wychodzić* z kla-
[sztoru.

(Brak ustępu do w. 272—7 zaczynającego się od słów „Nie wiesz“ a zakończonego słowami „śpiewają organy“.

Dow. 278—306. Zebrałyśmy się *wszystkie:* naprzód jedna
[z krzyżem,
Na ostatku staruszka tknięta paraliżem,
(D. *Na końcu jedna* tknięta paraliżem)
Dawno już jak umarła — święta, wielka
[*w duchu,*
Nóg *pozbawiona, władzy* i *myśli* i słuchu.
A nie można jej było wytłumaczyć tego,
Gdyśmy się wynosiły — po co i dlaczego.
Szła jak owca, z kijem, na rękach niesiona
I patrzała po twarzach ciekawa, zdziwiona.
Ja tylko *przestrzegałam* siostry, *żeby która*
Twarzą nie zlękła tego strasznego praszczura,
Myśląc, może się uda gdzie zostawić w mieście
Tego trupa, gdzie w domu — wszedłszy jak
[po kweście —

Zostawić te trzęsidło kości bezrozumne,
Gdzie, do jakiego domu, tak wrzucić jak tru-
[mnę —
(Przekreślono: Gdzie w bramę — wypchnąć — po kwe-
[ście chodziłyśmy...)
Myślałam... tam ją wezmę, chleba wszędzie
[dają,
Przytulą, *jak staruszkę,* złudzą, oszukają,
Wytłómaczą, że po nią powrócim, a ona
Tak gdzieś *sobie* zgaśnie jak lampa *zgaszona,*
A niedoznawszy żadnej już wielkiej rozpaczy,
Dopiero z niebios wrzaśnie, kiedy nas zobaczy.
Chciałam, ale nie można było ukryć przed nią,
Skorośmy weszły w kościół, klękły, *ja po-*
[ślednią,
A przedemną ta cała gromadka podróżna,
(Przekreślono zaczęty wiersz: „A wszystkie moje siostry")
Zaczął się płacz — łez było *utrzymać* nie
[można.
Prożno spiewałam: Ave stella, ave stella!
Zaczął się płacz, jak piekło *żałośne,* w ko-
[ściele —
Jęków i *łez* i modłów taka zawierucha...

Do w. 309 i nast. Zgięła, nóg *wydostała* z siebie, wzniosła
[kije
I wywijając temi kijami nad czołem, (*w około*)
Jakby rycerzem była albo archaniołem.
Szła od ołtarza sama — ku drzwiom,
(*Szła przed ołtarzem sama — a ku drzwiom*).

Do w. 315 i nast. Te białe kije trupa w tym *młynie* widząca,
Te płacze pohamować chcąca i te złości,
(*Chciałam hamować otwarcie te gesty*)
Chwyciłam za kolana — *Co? — Jej nogi*:
[kości.

Do w. 320 i nast. Już jej nie było — *wietrzyk już nie szedł*
[po włosku,
Spuściła ręce — na mnie upadła, jak z wosku,

I głową się na głowie *mej* biednej oparła.
Wzięłam na ręce — *siostry prowadzą — już*
[umarła!
Zostawmy ją Bogu...

Do w. 278 II. odm. *W ten czas w porządku,* naprzód je-
[dna z krzyżem,
Z Chrystusem, za nią *wszystkie my grze-*
[*sznice,*
Na końcu jedna tknięta paraliżem
Staruszka i t. d. jak w tekscie.

Do w. 284 i nast. Błysnęła tylko w oczach — święta w duchu,
Lecz pozbawiona rąk i nóg i słuchu.
Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem,
By nie mówiły nic...

Do w. 293 i nast. Albo do bramy *ją wrzucim* jak w trumnę,
Tam starą wezmą — chleba wszędzie dają —
Położą, w krzesło wsadzą, oszukają,
I to nie trudno z tym kawałkiem drzewa,
Co błogosławi nas czasem lub spiewa,
Jak lampa *zgaśnie...* Ja też tak myślałam,
A jednak *ciągle* patrzę na tę starą,
Ona coś szepce i źrennicą szarą,
Ciągle się pyta. *Wzrokiem ją spytałam,*
Spuściłam oczy — *klękłam* i ostrożna
Kazałam cicho spiewać: *In Domine.*
W tem łzy — łez było *utrzymać* nie można —
Płacz taki wielki, głośny w kościele,
Taka żałoba, taka zawierucha,
Że usłyszała *to nawet — ta głucha.*

Wtenczas *dwie siostry* chwyciła za szyję;
Zgięła — *oparła się, pod siebie gniotła,*
Nóg wydobyła *i* podniosła kije.
Z umarłej nagła gwiazda, jakaś miotła,

Młyn wietrzny z dwóch kul kręconych zro-
[biony:
Straszny, ognisty archanioł obrony (gniewu)
Przysłany niby na ostatnią chwałę,
Ażeby w gniewie ostatecznym skonał:
Jak błyskawice błyszczą kule białe,
Coś zabił niemi — w wichrze, coś pokonał.
Leci — dostałam grzmotem po warkoczu,
Padłam, a jeszcze chcąc hamować złoście,
Coś w dole chwytam, nogi jej, dwie koście!
Patrzę więc w górę, *już duch wyszedł z oczu,*
Stał jak z papieru trup, *biedny*, wybladły,
Ręce opuścił, kije z rąk wypadły,
Tchnienia już ani w jednym *siwym* włosku;
Zgięła się, zgięła staruszka, jak z wosku,
Jak świeca, gdy się topi, chyli i łamie,
Zgięła i głowę mi biedną na ramię
Kładła, jak w rzeźni pobite owieczki...
Wzięłam na ręce *wtenczas te kosteczki*
I szłam z kościoła.

W. 285. D. Nóg pozbawiona władzy i myśli i słuchu.

W. 293. D. Albo do bramy gdzie *wrzucim...*

W. 296. D. *Wytłómaczą, że powrócim.*

W. 299. D. A jednak *ciągle* patrzę.

W. 303. M. Mylnie: *Kazałem.*

W. 308. D. Wtenczas *dwie siostry* chwyciła za szyje,
Zgięła, nóg *wydobyła*, *wzniosła* kije
I wywijając kijami nad czołem.
(M. mylnie: I wywijać *tymi* kijami nad czo-
[łem. Aż 13 zgłosek w wierszu).

W. 312. D. Chciała bronić. *Podbiegłam* — zaćmiło mi
[się w oczach.

W. 313. D. Upadłam przed nią — zda się — cięta
[po warkoczach,
Padłam, a święte chcąc *hamować* złoście,
Chwytam za kolana, nogi jej: dwie koście!
Pojrzałam w górę: trup był, *trup* wybladły.

Do w. 328 i nast. Tajemnic twoich *niech* zobaczę. D. Tajemnic
[twoich — niechaj je zobaczę. Widoczne
[poprawki (wydawców Teofila Januszow-
[skiego i Małeckiego) wiersza nie mającego
[w autografie 11 zgłosek.

Do w. 330 i nast. Przyszłaś jako Mojżesz pzowadzić tułacze
(Przez omyłkę poety wiersz ten liczy 12 zgłosek, co również sprostowali wyżej wymienieni wydawcy).
A ona: We mnie *tylko* sama matka płacze,
Nic ja nie jestem... *Posłuchaj, co się dalej*
[*działo:*

Do w. 340 i nast. *Przecież* tak zbrojną otoczona rzeszą,
Z siostrami memi widząca się samą
Jakby w wilczej jamie...

Do w. 344 i nast. Słuchaj! Ty nie wiesz, co *to jest w niewie-*
[*ściej duszy*
Strach wstydu, *błota, dźwięk bagnetu* w u-
[szach,
A jeszcze gorzej, dźwięk brudnego (słowa)...
Gdy jakie brudne słowo w uszy *chlaśnie,*
(D. Gdy jakie *słowo brudne* w uszy *wpadnie,*
To mi brzęk zębów zabrzmiał tak szkaradnie,
(Zaczęto i przekreślono wiersz: *Że wtenczas*)
Taki brzęk garnka rozbitego miały,
Tak mi ohydnie, w mózgu zabrzęczały,
Że jak pijana lecę do rynsztoku
Trzęsąc się cała...

W. 350. M. To piekłem zemsty *zawrzałam* — kobieta.

Do w. 352. To mój *kochany,* mówię tylko tobie.

Do w. 358. A pan Bóg okrył mię wielką prostotą.

Do w. 359 i nast. *Tu skrócić tobie moją powieść muszę.*
Ani powiedzieć jak zagrzało ludzi...
Nic — tylko zdjęli czapki, kapelusze
I *stali*; *tylko psy szczekali w budzie*
Na popów...
Takie piękne było lato
I *takie* piękne były *nasze gaje!*
M. A *jakie* piękne było w onczas lato
I *jakie* piękne były *łąki nasze.*

Do w. 372—383. A Doniec się też dotknął mego włosa,
(*Aż ja musiałam odskoczyć na stronę*)
Że aż musiałam odejść i w postawie
Groźnej do księdza rzec z litością prawie:
W wodę? czy myślisz że to są niebiosa!
Rzekłem: O matko, patrz, obłoki schodzą,
Oto jest napoły cicha górność miła,
A są niepewne zakryte ciemnice.
(*To ty...*)

Do w. 384—6. *A ona oczy swe przyjemnie*
Pełne uśmiechu obróciwszy rzekła:
Widzisz, do *niebam* jeszcze nie uciekła.

W. 388. D. Przez którą wskoczyć *mogły* męczenice.

Do w. 396. I świst *jak węża* smagającej pałki.

Do w. 399. O! *straszne* ruskie klasztory — straszliwe!

W. 405. M. Lecz to dziwniejsza, że takie są *miedzie*
(Omyłka zam. *śniedzie*).

Do w. 408. *I* wiesz jak pokarmu zwykłego ujęli, (12 [zgłosek w wierszu)

W. 413. A czasem *głodne* krzyczały aż brzuchy,
Lecz duch nie cierpiał — owszem rosły [duchy.
(Brak wiersza: I potężniały znoju i głodu [żniwiarki)

W. 415. D. I potężniły nas głodu zniwiarki.

Do w. 418—20. Tośmy *stanęły*, twarze były zmyte,
Jakby w słonecznej i *w* różanej wodzie.
Chociażmy żyły w lochu prawie gliną.

Do w. 424—7. W rękach miał dzidy — w oczach *miał* [sztylety.
W serca patrzył — zmiany chciał niezwło- [cznie.
Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która
Weszła do cerkwi — *przed obrazem padła.*

Do w. 430. *W oczach* nam prawie jak widmo promienne

W. 431. D. Zdjął... *leci* jako młyn okropny z góry.

Do w. 433. Plamiące długo *obrazy* wapienne

Do w. 444 i n. Bo się rozniosło już *przez Ruskie panie,*
Że nawet same, same Rossyjskie panie
Klną już te klasztory...
Umyślił gnać nas do Płocka, a potem
Zmęczone większą drogą i kłopotem,
Jakim sposobem jakby senne zdradzić
I wprost do cerkwi Ruskiej zaprowadzić.

Do w. 448. Byleby tylko *złowił* pozór jaki

Do w. 452—3. *Naprzód spostrzegłam gdzieś czoło bezbożne*
Biskupa, *potem gdzieś* topór ujrzałam pod [kłodą
(D. Mylnie: Zarazem *ujrzałam.*

Do w. 457—9. *Wnet dałam rozkaz tak jasny okrzykiem,*
Że żaden biskup, choćby jak *wymowny,*
Nie mógł rozumieć. Sama więc...

Do w. 461. Mówią, co mówię, *idą, gdzie ja każę.*

Do w. 468. Rzekłam i nagle porwawszy *topora...*

Do w. 470. Weź *topór.* (Przekreślono: *Zabij, co żywe!*)

Do w. 474. Myślałam wtenczas, że *ogień* wyskoczy.

Do w. 480 i nast. *A sam się broczył zębami i pienił,*
I tym toporem *cisnąwszy o ziemię,*
Nogi mi — patrzaj — ukroił kawała

(D. *Cisnął i* nogi — *patrzaj — ukroił* ka-
[wała)
Przy kostce, w twarz mi dał i wybił zęba.
Ja tylko *wtenczas,* nie zmieniwszy cery,
Na nogę tylko spojrzałam, krwią purpurową
[ciekłam —
(D. *Choć purpurową z dwóch ran już krwią*
[ciekłam)
Ząb mu podałam wybity i rzekłam:
Włóż to pomiędzy twe wszystkie ordery!
Ty może myślisz, że to duma świecka
A nie przystojna mniszce, Boskiej słudze?
Ależ ty pomyśl, ja córka szlachecka...

Do w. 493 i n. Ciało *stąd* było, a *gdzie* od nich siła?
Przezemnie zda się zwyciężały ludy,
Przezemnie — czułam — wszystkoby upadło.
Widzisz — potrzebne było *moje* męstwo.

Do w. 500. Spamiętać jak w *gorzkim, strasznym po-*
[czątku
Dalsze boleście tylko, dalsze rany,
Jak we mgle — *jakieś* duchy bez ojczyzny

Rzucone w bezdno pomiędzy sobaki.
Wrzask, *krzyk* i krwawe w powietrzu bie-
[lizny,
Jako sztandary i skrwawione ptaki;
A dół nietknięty nawet już pamięcią,
(D. Nie ma tego wiersza jedynie przez pomyłkę).
Pełny leżących kłodów na błocie widomych,
Bo albo bladych twarz była pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowaną

W. 507 i nast. D. *Gady* świeciły jak gwiazdy różane
Na głowy, z których twarze pozrywane
Wybite *pięścią, biskupią* pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowane.
Co mówię? Głowy, *to* listy otwarte,
Mózgi odkryte i pieczęcie zdarte,
A oczy w krwawej wędrowały słomie
Niby ślimaki, szkła i niezabódki,
A ciała, ciała jak *bezkształtne* kłódki
Taczały siebie jęczące po domie —
Na widowisko tak strasznie zwierzęce
Wejdź Chryste Panie i rozkrzyżuj ręce!

W. 511, II. odm. Co mówię? *Listy te były* otwarte,
Mózgi odkryte i pieczęcie zdarte,
Wszystko piekielne...
A oczy *gdzieś tam wędrowały* w słomie
Z dziewięciu kolorów i we krwiach niby nie-
[zabudki.
Ciała — *nie ciała, lecz* bez kształtu kłódki,
Taczały siebie, jęczące po domie:
Chryste! wyjdź! w one otwory zwierzęce,
Stań między niemi i rozkrzyżuj ręce!

Do w. 225—8. Z troistą wieżą ciągle owronioną,
W mrokach, zorzami częściami czerwoną.
(*Mgłą szarą, zorzą północną, czerwoną*)
Stawiajcie ciągle przed ludzi oczyma,

ODMIANKA I.

Do w. 246—256. Turma, nie klasztor, na *polach, przy borze,*
Na polach wielkich, kędy ciągle wietrzno,
Głucho, a wichry wielkie jak psy wyją,
Czasem się rozbój zdarzył —

ODMIANKA II.

Przy ogromnym borze
Stał, lecz *na pole wychodził tak straszny*
I taki wietrzny, że strach wyły ściany,
Że strach *brał mniszki* mocniejszy od bolu.
Czasem na jutrznię dzwonią, ciemno *wszę-*
[dzie,
A gdzieś w celicach ołów tylko brzęczy.
Słuchasz, a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,
Jak wóz z szynami, gdy idzie po skibach.
I wywołany posępnemi dzwony
Zaraz ci w oczach staje trup czerwony.
(Zamiast tych dwu ostatnich wierszy przekreślonych dopisano u góry:
I nim *zadzwonią na jutrznię te* dzwony,
Ty już gdzieś myślisz, że tam trup czerwony)

Do w. 257 i nast. *Na tychto* smętnych *klasztoru dziedzińcach*
W poranki szare czasem rąbię drzewo,
A tu na prawo *huk* i brzęk na lewo
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru,
Patrzę — mniszeczki takie jak my, może
Biedniejsze od nas, z Łucka przygnali.
(Przekreślono ostatnie dwa wiersze i dopisano:)
Patrzę, kto wejdzie. O, *pomiłuj Boże!*
Uczułam, o tu, w sercu, mocne noże.

ODMIANKA I.

Do w. 269. I znów ostatnich niby wołokitów
Wpędzono w *bramę* pięć *szarych* straszydeł.

(D. I *znowu* ostatnich niby wołokitów
Wpędzono *bramą* pięć *szarych* straszydeł)
Ci weszli, *jako jendyki* bez skrzydeł,
W łachmanach — pięciu *staruszków* unitów.

ODMIANKA II.

I patrzę na nie, a już drugą bramą
Przyprowadzono jakby wołokitów
Okutych w dybach, nieszczęsnych unitów.
Jeszcze biedniejszych — *nędzę taką samą.*
Na nas kobietach jeszcze jakaś święta
Jasność kosteczek naszych się trzymała,
Lecz u nich były tylko węgle ciała...

Do w 280 i nast. *Naprzód wybiegłe szczęki* jakby głodne,
Nos czarny jak dziób, w oczach takie skrzy-
[nie,

Żem przypomniała, jako po łacinie
Mój ojciec w czaszce ludzkiej czytał: *omo.*
[(tak!)

Wtenczas zamknięto klasztorną fortecę,
Otworzyłyśmy — zamknięto przed nami —
A wreszcie biskup przyjechał z popami,
Jakby na kiermasz jaki i na hece.
Popiska spite gorzałką czerwoną
Latały, bijąc te unity w twarze,
Albo nas pędzą kijem przed ołtarze,
A gdy nie chcemy, bywamy ptawione.

Do w. 288 i nast. *I nadający oczom* wyraz ptasi.
Całym drżał zadziwienia krzykiem,
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem,

A ona dalej, zapewne widząca
Ten sam na twarzy mojej wyraz trupa,

I *krągłość i blask krągłego miesiąca,*
Rzekła: Ujrzałyśmy — słuchaj — pod wio-
[szczyną,
(D. *Na samowoli*, rzekła, wściekłego biskupa)
Był staw, *a nad nim* wierzby jak upiory.
Tam nas, bywało, zaszywają w wory
Po szyję, obwiązują liną,
A potem *ciągną ludzie w przód posłani*
Na *czółnach*, gdzieś tam przed nami daleko,
Wiosłami robią i nasz łańcuch wleką.
Poprawione cztery ostatnie wiersze opiewają:
I tak zaszyte obwiązują liną,
A potem *ludzie* w łodziach wprzód posłani,
Czółnami płyną daleko, daleko —
I nas za sobą temi liny wleką.
A popy krzyczą: Postój! albo *tiani*!
(D. A popy krzyczą: *pastoj*! albo: t'iahnij!)

Do w. 307. Lud się — bywało — i *żydostwo* zbiega

Do w. 309. W tej czarnej wodzie po pas *i* po brodę.

ODMIANKA II.

Co — rzekłem — matko, jako czarownice?
A ona: Dziw się katów wymysłowi.
Był staw — jezioro — puste okolice
Jakby przystojne męczeństwa duchowi.
Tam nas, *jak czarne i szare upiory*,
Pozaszywane aż po szyje w wory,
Wciągano, a gdzieś liny szły i łodzie
Ciągnąc daleko we mgłach jak szatani.
Ciągły krzyk popów: Postoj albo tiahni!
Ciągły szmer głuchy w zebranym narodzie,
Który na mękę naszą nieszczęśliwą
Z daleka patrzał, jak na *jakie dziwo.*

W. 311. D. I milczym...
Dobrze kochanku, pływać (wiersz [tylko 10 zgłoskowy!)

W. 318 i nast. Przysłani *naszą osłodzić tęsknotę*
Jacyś anieli — mówią — w ludzkich ciałach.
Pierwotnie było: Przysłani na tę okropną robotę
Czynioną z nami: — Patrzą — w ludz- [kich ciałach,
A przez litosne *ale ludzkie* oczy...

W. 321 i nast. Podaję tu kilka wersyj o Samuelu Zbo- [rowskim:
W tłumie zjawiał się zawsze na uboczy
(D. mylnie: W tłumie zjawiał się na uboczy)
Szlachcic ubrany w szarych samodziałach

W. 329 i nast. *Bóg mię tym szarym szlachcicem* przerażał
I cieszył. — Słyszę jego święte stopy
W śniegu idące...
Dzieckiem u rodziców
Słyszałem powieść bez ładu i celu
O jakimś wielkim panie Samuelu,
Ktory był ścięty: Szlachcic przez szlachciców.
Otóż na tego ściętego pogrzebie,
Do trumny człowiek poważny przyskoczył
I chustkę we krwi ściętego umoczył,
A potem schował za nadrą u siebie.
Na tem się powieść zwyczajna kończyła,
Że nie wiadomo kto był owy (czy sługa do- [mowy,)
Czy jaki Boży mściciel ściętej głowy.
Wziął akt a proces zaczął pod mogiłą,
Bo ojciec, który mi tę powieść prawił,
Mówił, że nigdy się więcej nie zjawił
Ów mściciel o krew dbający przelaną.
Otóż ten szlachcic, myślałam, z rumianą
Chustą być musi. I raz gdy pławiona
Wzniosłam nań oczy, krzycząc niby wsparcia,

On wyjął chustkę jak dla łez otarcia
A chustka była jak ogień czerwona.

I powiem tobie, że dziwnemi związki
Wspomniałam sobie jedną powieść starą,
Ciemną, że kiedyś taką samą marą,
Niby spełniając brata obowiązki,
Zjawił się człowiek z twarzą świętą,
W kraju, gdy pana Zborowskiego ścięto.
Ten ani krzyczał, ani też rozpaczał,
Lecz trumnie dostęp kosturem zastawił,
Lecz chustkę we krwi czerwonej umaczał,
Schował i więcej w kraju się nie zjawił.
Skorom szlachcica szarego spostrzegła,
Zaraz mi na myśl ta powieść przybiegła,
Próżno odpędzam, ilekroć do łona
Podniesie rękę, to otwieram usta
I patrzę, patrzę — i myślę że chusta
Wyjęta będzie zapewne czerwona,
On ją — myślałam — tu gdzie się ja pławię,
Gdy Bogu ducha swojego poruczę,
Pewnie ją w wodzie tej ze krwi opłucze,
Jakby ją łzami ludu obmył w stawie.
Bo ja w to wierzę, jak wy, duchy świeckie,
Że na nas grzechy są dawne, szlacheckie.

Dość, że ten człowiek jeszcze dotąd widzi,
Jak to, co widział, pewnie Bogu powie.
Otóż ci powiem, że gdy już po brodę
Byłam w tej wodzie, gdy mię fale mrożą,
A ja ustami całuję tę wodę,
Całuję jako nową różgę Bożą,
Pierwszy raz wtedy, w ostatecznej toni
Zaczęłam wierzyć, że mię ktoś obroni,
Kto, nie wiedziałam, alem czuła blisko
Zbawiającego anioła przytomność.
Wodę tej obraz i nieba ogromność

Były już dla mnie jako widowisko,
Które za chwilę złotą błyskawicą
W róże i w gwiazdy anieli rozchwycą.
Pierwotnie opiewał ostatni dwuwiersz:
Które się skończy, tak że to rozchwycą,
Jak sen, anieli boscy błyskawicą.

A ziemska mi też przybywała z boków
Pewność, że mam przyjaciół w gawiedzi.
Bywało jakiś szlachcic o sto kroków
Stoi, albo też na kamieniu siedzi,
Patrzy, ja także na niego ciekawie
Rzucę oczyma, to on brwi podnosi,
Drogę mi niby pokazuje w lesie,
Oczyma mówi: Żyj, bo ja powrócę.
Ja też lubiłam patrzeć gdzie on siada
A często patrzeć na twarz w późnym wieku
Przypominałam powieść mego dziada
O jakimś szarym i dziwnym człowieku,
Który po ścięciu pana Samuela
Za Batorego z tłumu gdzieś wyskoczył
I chustkę we krwi ściętego umoczył
I schował za pierś, jak kwiatek z wesela,
A nikt go nie znał.

Wtedy wspomniałam na dziwny przypadek
W historyi naszej a wiadomy wielu,
Że tak po ściętym panu Samuelu
Zjawił się niegdyś nieznajomy świadek,
Który do trumny za katem przyskoczył
I popatrzywszy w blade trupa lice,
Chusteczkę we krwi ściętego umoczył
I tu, gdzie serce, schował na pętlice
I zniknął. — To człek, myślałam, ten samy,
Który szlacheckie dziś chce obmyć plamy
I czeka w groźnej anioła postawie
Na jakie wielkie męczeństwo w tym stawie.

A już i ludzie się jacyś jawili,
Jakby świadkowie bolu i ofiary
Jakiś na boku stawał szlachcic szary,
A nie odchodził choć żołnierze bili.
(Porównaj: dramat Juliusza p. t. Samuel Zborowski).

W 328. D. Na nas, a *wszystkie* przeglądał, uważał.

W. 331. D. Patrzy... na niego ja kiedy wzrok rzucę.

W. 336—8. D. Raz *już się zbiegło wielkie ludu mrowie.*
Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,
W gliniastych mułach i w traw wężowisku,
(Brak wiersza: Grzęznąc — zielone jak grynszpany [chłodne).

W. 346. D. *Znów* sznur się *sprężył na rozkaz gotowy,*
Plusnął po wodzie... Aż już sami Żydzi
Podnieśli: Boruch do swego Jehowy.

Do w. 337 i nast. Raz już się zbiegli z miasta nawet żydzi,
Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,
Bo się rozniosło, że my bardzo głodne,
Już *trzech godzin włóczone po stawie,*
My w glinie, w mułach i w traw trzęsawisku
Grzęzły zielone jak grynszpany chłodne,
A popi ciągle, ci szronem owiani,
Krzyczeli z góry: „Postoj! *na sznur z łodzi!*“
Potem krzyczeli: „Która z was przechodzi?“
I znów krzyczeli na łódkarzy: „*Tiani!*“
A sznur się prężył i naszemi głowy
Pluskał po wodzie. *A już sami Żydzi*
Podnieśli Boruch do swego Jehowy,
Myśląc: usłyszy, jeżeli nie widzi.
Ty wiesz jak żydzi niebiosami trzęsą,
Kiedy jak wilcy wielki płacz zawiodą.
Słuchając, perły ja miałam pod rzęsą,
A serce, o! tak skakało *pod wodą,*
Zaczęłam marzyć o jakimś piorunie.
Jak w obłąkaniu — myślę — zerwą niebo,

Bo taki lament nie próżno podnoszą,
Bogu jakiego piorunu wyproszą.
Żydziska nawet, dobre żydowice
Lamentowały: Aj waj! — bijąc w łono —
Nu! one głodne, pomarzną, potoną,
Nu a gdzie Pan Bóg *jest nasz z błyskawicą?*
Czemu nie *bije?* Słuchaj, gdy bywało...

Do w. 367 i nast. Jedną mniszeczkę: *Piorun, śmierć (świeczka [zgasła)*
Te sznury czarta *plusnęły na wodę,*
Jedno maleńkie *mi* dziecko przepadło.

Do w. 380. Strach *wielki chwycił, serce mi ogarnął.*

Do w. 384 i nast. Może się jeszcze gdzieś pod wodą rusza,
(Wiersza tego brak w wyd. M. przez omyłkę [w druku).
Może swe oczki we krwi jasnej kąpie,
A mnie tu ciągną dalej *na powrózku,*
Co krok to może na biedną nastąpię.
Widziałam, prawie widziałam z wosku
Tę biedną...

Do w. 391. O strach! a tutaj ciągle *idą sznury*

Do w. 398—400. Że ot! już chciałam *porwać* te sznurzyska,
Zgryść i napoły niemi zadławiona
Buchnąć w tę wodę — *zniknąć jak* zginiona.

Do w. 405—8. Bo taka głodna byłam, tak pożądał
Mój *brzuch* chociażby *w usta jakiej muchy,*
Że *nam* aż z oczu wyglądał
Głód i tak męczył nasze biedne duchy.

Do w. 411—2. Wtenczas już widok okolicy *dziki,*
Naszej męczarni *i tego błotniska...*

Do w. 415—6. *Jedna* żydówka — *patrzę* — na brzeg bieży,
Obwarzankami *temi obciążona*

W. 421. D. Już, *już* nad nami, już na samym brzegu.
(Uzupełnienie przez wydawcę wiersza do 11 [zgłosek).

Do w. 428. *Aż do żywego tą troską* matczyną

Do w. 431. I z wód podniosłam moje ku niej dłonie,
Tak była w siebie ciągnąca i złota.

Do w. 441—2. *Może mię święte uświęciło* zboże
(D. *Może zeświętłam* tą koroną zboża)
A może moje *już mnogie* stygmaty...

Do w. 447—9. A *kroki* popów jak wężów szelesty,
Tu i tam *oczy gdzie migają* — chresty,
Przepadli...

W. 452. (D. Wawrzecka sagan stawi i groch warzy).

W. 457. (D. I zaraz wszczęła się jakaś narada).

Do w. 459. Na tem stanęło, że my *trzy staruszki.*

W. 463. (D. Jak stare *polskie.* (Prawdopodobnie o- [myłka zamiast Polki).

(D. Zamiast pięciu wierszy od 487—491):
Bo Bóg uśmiercił ich ludzką naturę,
Aż wreszcie i nóg skończyli robotę,
I stali jako wielkie trupy złote,
Rzucone niby na ciemne podwórze
Niedomęczonym jak anioły stróże.

Albo mi odjął Bóg widzialność z ciała
Lub popy ślepe uczynił i głuche,

Boby zabili mnie jak nędzną muchę,
Gdyby wiedzieli, żem ja to widziała.

Do w. 468—477. Dał, *a* wybawił jak owieczkę z biedy.
(M. Dał *i* wybawił jak owieczkę z biedy).
Pod wieczór *wyszłam po* wodę z saganem,
A rzeczywiście wylazłam na zwiady.
Słucham — przy pompie *jęki:* Biskup z po-
[lanem
W ręku, choć *zorzą* jasny, ale blady
(D. W ręku... Reszty wiersza brak w tem
[wydaniu).
Przy nim popiska, krwią *mu ręce* ciekną,
Widać, że kogoś do krwi kijem tłukli.
Plączą się, czasem po rusku coś szczekną,
(D. *Klątwę po rusku czasem* sobie szczekną).
Chodzą jak gdyby głowy potracili.
Zbliżam się cicho — *widzę trzech* unitów.

Do w. 483 i nast. (Ścięły się jakby w puhar kryształowy.
Iskrzą się brody — twardnieją jak miecze).
Zamknięte jakby w puhar kryształowy.
Głowy ich w takim piętrzyły się lukrze,
A oczy — oczy jak maliny w cukrze,
Bo w lodach trzeszczy skroń i pęka czaszka.

Do w. 484. D. *Głowy ich w takim nękały się lukrze,*
Policzki, piersi, jak sina bomażka,
A oczy, oczy jak maliny w cukrze,
Bo w lodach trzeszczy skroń i pęka czaszka.

W. 485. M. A nie *słyszałem* jęku, ani krzyków. (Za-
[pewne omyłka druku).

W. 485 i nast. D. *Nogi, cepiska wyrzucali w górę,*
Żadne już więcej nie zdradzały krzyki,
Że jeszcze cierpią wielkie męczenniki.

Inna wersya:

Do w. 485 i nast. *Niby cepiska wyrzucali w górę,*
Straszliwe jakieś boże spazmatyki,
A już z pod lodu nie szły żadne krzyki,
Bo Bóg zaniechał nieludzką robotę.
Żadne już więcej nie świadczyły krzyki,
Co jeszcze cierpią straszne spazmatyki.
Potem nic — katy skończyli robotę.
I mówię tobie, pod zorzą ognistą
Ujrzałam jakby jakieś słupy złote,
Dym jeszcze z piersi wychodził przez skórę
I stał jak skrzydła na zorzy czerwonej,
A oni nogi już trupio zielone (wyrzucali [w górę)
Aż wreszcie i nóg (nie widać) — skończyli [robotę.
A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,
Stali jako wielkie trupy złote
W gwiazdach, w płomieniu, w sińcach całe.
Przed takim dziwnym postawiona trupem
Stałam się także mimowolnie słupem.
Ostatnie dwa wiersze opiewały pierwotnie:
Patrząc już wpadłam jakby w pomieszanie
I także jak słup stałam patrząc na nie.
Daruj, lecz widząc te *złote* osoby,
Rzekłam: Czy to wy o biedacy głodni,
Coście w tak *piękne* powchodzili groby?

W. 499 i nast. I oto wam dał takie trumny złote.

I oto mówiąca wnet postanowiłam
Mniszeczek moich nie trwożyć boleścią,
Jakie widziałam u popów polana,
(Z jakich mię krajów zbawiła dłoń Pańska)
Jaka w sercu trwoga męczenicy Pana,
Gdy mię żegnając w spazmach niebogę
Błogosławili nogami na drogę.

Odtąd w zupełnem niby zapomnieniu,
Grochem żywione przez miesiące całe
Żyłyśmy — prócz trzech — wszystkie już [schorzałe
Albo kaleki. — Aż jednej nocy...
I szczęście, że mię Bóg w tej strasznej chwili
Ratował.

Do w. 508. *Zaległa* snem ciężkim zjęta jak ołowiem

Do w. 511. Często ukradkiem *cicho* zawołała

W. 506 i nast. D. Jednej więc nocy, gdy nasi morderce
Spoili miodem siebie i czernice,
Jedna jednakże z czernic miała serce,
To wyznać muszę, mam jej obietnicę,
Że będzie mniszek moich doglądała;
Patrz, nawet krzyżyk mi swych włosów dała,
Chowam przy piersi... niech ją Pan Bóg [strzeże.
Otóż tej nocy pobrawszy na siebie,
Która co miała z cieplejszej odzieży,
Wyszłyśmy. Gwiazdy nas wszystkie na niebie
Niosły, wiatry nosiły i kładły,
Gdyśmy z wysokiej ogrody w śnieg spadły.

Do w. 506 i nast. *Jednej więc nocy, gdy nasi mordercy*
Podpili sobie miodem i czernice,
Jedna *jednakże* z czernic miała serce,
To wyznać muszę; mam jej obietnicę.
Że będzie mniszek swoich doglądała,
Patrz, nawet krzyżyk mi *swych* włosów *dała,*
Chowam przy piersi, niech ją *Pan* Bóg [*strzeże.*
Otóż tej nocy pobrawszy na siebie,
Co która miała z cieplejszej odzieży,
Wyszłyśmy — gwiazdy nas wszystkie
Niosły, wiatry nosiły i kładły,
Gdyśmy z trzeciego piętra w śnieg upadły,

I zaraz jako ptaki przestraszone,
Śnieg otrzepawszy *z podartych łachmanów*,
Każdaśmy *biegły biedne* w inną stronę.

Do w. 519. Prędkie skoczyłyśmy aż na dół z góry.

Do w. 523 i nast. *Strząsnąwszy z siebie śnieżne ono pierze*,
Każda pobiegła szybko w inną stronę,
Myśląc, że gonią popy i żołnierze.
Ja biegłam póki pobiedz byłam zdolna
W lesie — aż padłam na kolana — wolna.

Do w. 527. Czy *jaki mię* duch pędził strachu dłonią.

Do w. 531 i nast. Gdzie iść? nie znałam *żadnej drogi, strony*,
Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,
A gdy zapłonie czerwona jutrzenka,
(*Gdzie chatę ujrzę, to mię serce lęka*)
Dziwię się nieraz, że ptaszków piosenka
Tak tam wesoło w lesie dzionek wita.

Do w. 538—40. Weszłam nareszcie raz do jednej chaty
I dobrą, młodą znalazłam niewiastę,
I obaczywszy na mnie *ciemne* szaty
Rzekła: Zapewne na odpust do miasta?

Do w. 543. Co tu rzec? smutek *mię objął* i trwoga

Do w. 547. Wszakże już w *oczach* pełna tego dymu,
Który ćmi w oczy, *gdy sercem się waha.*

Do w. 560. A ona: wiesz ty *co się stało* w Dziedziołach?

Do w. 561. Popy biegają *po* wszystkich *kościołach.*

Do w. 566. Rzekłam: *A którą* czy już ułowiono?
(M. Rzekłam: *A czy już* którą ułowiono?
[Dla gładkości rytmu).

Do w. 559—80. Mówią, że sama najstarsza przy ścieku
Jednej *źródlicy, przy rzekach* leżała,
Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu.
Biskup sam nadbiegł, gdy gońce strudzeni
Dzidami trupa kłuli przez odzienie
I w twarz spojrzawszy poznał, że to ksieni
I kopnął nogą, jak ścierwo w strumienie.
Rzekła, a ja się natchnąwszy od trwogi
Rzekłam: A dońce? A ona mi na to
Rzekła: Katy zwrócone są z drogi,
(Biskup w pogoni już zawrócił z drogi),
(D. Nadbiegła w pogoń biskupa *kolasa* zam.
[kolaska)
Proszczaj! I poszła w las jak anioł Boży,
A ja zlękniona patrząc w sosen cienie
Rzekłam: To *Boże* było ostrzeżenie...

W. 583. D. Bo *pomyślałam*, że się on nie rodził. Do-
[pełnił wydawca do 11 zgłoskowego wiersza.

Do w. 586—9. Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,
A jeszcze *mię raz Bóg* tylko spróbował,
(M. A jeszcze Bóg mnie raz tylko spróbo-
[wał. Dla płynności rytmu).
Taki mróz puścił, *że ze źrenicy*
Krew szła, gdzie spojrzę lasy, drwa na pował.

Do w. 592. W tem patrzę: jakieś przy lesie pastuchy
I owce leżą — Granica tak bliska,
Nie śmiałam...

Do w. 596. Jakoż się mnóstwo matek *po*zbiegało.

Do w. 600 i nast. Byłam ogrzana, od nóg aż do twarzy,
(D. *Była* ogrzana i t. d.)
Patrząc w miesiąca cudowne jasności
Uczułam, że mi mróz porzucał kości,
Żem pozdrowiona, jakby przez lekarzy.

Mówiąc skończyła w górę tak patrząca,
Żem ujrzał srebro białego miesiąca
I tę *płaczącą* radosnemi łzami
W miesiąc patrzącą między owieczkami.

W. 608—613 opuścił wydawca D. jako zwrot mowy nie odpowiadający całemu tokowi opowiadania skierowanego do poety, a nie do „moich biedaczek".

Do w. 610. Gotowa *czynić co każecie.*

Do w. 615. I całej *mojej* tej biednej podróży.
(M. przez omyłkę opuszczono „mojej")

Do w. 619. Że chciałabym *już dostać się* do Rzymu.

W. 621. D. Mylnie: Ale nie dzwoni serce, *dalej gdzieś* [uderzę.

Do w. 624—8. Patrzą, *rumianych przekrzywiając* główek,
Wzdychają w niebo i czyszczą paznokcie.
A z niemi damy. — Jestem poraniona,
Prosta — O, *gdyby tu* jaka serdeczna
Z doktorem jaka poważna matrona.
(W. 626—7 rownobrzmiąco z D.)

Do w. 630—2. (*Nie! Wchodzą jakieś grafinie pachnące*)
A nie, tu po księżach etykieta sama.
Wczoraj — hrabina jakaś, polka, dama...

Do w. 630 i nast. *Jakaś hrabina* słodka jak patoka,
A z migrenami w każdym biednym członku,
Weszła — spojrzała *na mnie tak* z wysoka,
Jak gdyby miała sakrament w pierścionku.
Ona tam może bardzo Bogu miła,
Lepsza odemnie sto razy i świętsza —
Pocóż tak oczy swe słodko zmrużyła.

Do w. 647—50. Lecz teraz ujrzysz na świętej *fortecy*,
Wyżej złoconych *papieża* krużganków,
Błyszczące widma — by świętych młodzian-
[ków,
Pozastrzelane *ohydnie* przez plece.

Do w. 655. A jeśli *Twojej* nie ustrzeżesz duszy....

Do w. 663—6. A ona swe oblicze blade
Zrosiwszy łzami, na kolana padła:
„*Chrystusie powiedz*, gdzież ja pojadę?“
A ja: „*Jest miejsce, trzeba żebyś zgadła*“.

Do w. 665—6. A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,
Że *przy tych głosach* tamte tylko płaczą.

Z literatury odnoszącej się do Makryny Mieczysławskiej i jej towarzyszek niedoli, a wypełniającej łamy wszystkich niemal pism spółczesnych w Europie, podaję jedynie kilka najważniejszych broszur i artykułów, z których tu korzystałem:

Dziennik narodowy. Paryż 27. września 1845. — Tom IV. Nr. 234 i nast. (Bibl. Ossolińskich l. inw. 51, 504).

Trzeci Maj. Paryż 1845, str. 140 i nast. (Bibl. Ossolińskich l. inw. 65, 267).

Demokrata polski. Paryż 1846. Tom VIII., str. 69 i nast. (Bibl. Ossolińskich l. inw. 44, 933).

Demokracya polska XIX. w. Paryż 1846. Str. 34 i nast. (Bibl. Ossolińskich l. inw. 65, 271).

Pamiętniki polskie, wyd. Xaw. Bronikowski. (Nakład Towarzystwa demokrat.) Paryż 1846. Tom III., str. 178 i nast. (Bibl. Ossolińskich l. inw. 45, 420).

Opowiadanie Makryny Mieczysławskiej, spisane przez Ks. Ryłłę, Jełowickiego i Leitnera. Paryż 1846, (Bibl, Ossolińskich l. inw. 58, 748). — Toż po francusku p. t.: *Recit de Makrena Mieczysławska.* Paris 1846. (Bibl. Ossolińskich l. inw. 81, 832). — Toż po niemiecku p. t.: *Autentischer Bericht M. Mieczysławska,* po angielsku i podobno po hiszpańsku. Z owego źródła autentycznego mamy liczne przeróbki jak np.: „Pamiętnik Makryny Mieczysławskiej". Poznań 1880. (Bibl.

Ossolińskich l. inw. 99, 130). Por. „Opowiadanie Mieczysławskiej". Poznań 1887. (Bibl. Ossolińskich l. inw. 94, 963).

Ze współczesnych pism zasługują na wymienienie:

Martyre de soeur Irena Macrina Mieczysławska par. E. B. Paris 1845. (Bibl. uniw. Lwów. 49, K, 172).

Märterthum der Oberin Irena Macrina Mieczysławska. Augsburg 1846. (Bibl. uniw. Kraków. Hist. pol. 1789).

Ze strony rządu rosyjskiego wyszły w kilku językach zaprzeczenia zeznań Makryny. Przytaczam tylko: *Das entlarvte Marterthum der sogenanten Makrina Mieczysławska.* München 1846. — Do tego przedmiotu odnoszą się następujące prace:

Ks. Paweł Smolikowski: Historya Zgromadzenia Zmartwychwstańców. Kraków 1895. Tom III.

Dziennik literacki. Lwów 1861. Nr. 20 i nast.

Przegląd poznański. 1861. Tom 31, str. 366 i n.

Stan. Tarnowski. Prof. Małeckiego J. Słowacki. *Przegląd polski.* Kraków 1867. Tom III.

Przegląd społeczny. (B. Wysłouch: Skutki ucisku przekonań religijnych). Lwów 1886. Tom I., str. 59 i nast.

Pisma pośmiertne J. Słowackiego. Lwów 1885, staraniem A. Małeckiego. Tom I., str. 193 i nast.

A. Małeckiego J. Słowacki, jego życie i dzieła. Wydanie 3. Lwów 1901. Tom III.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Łodzi

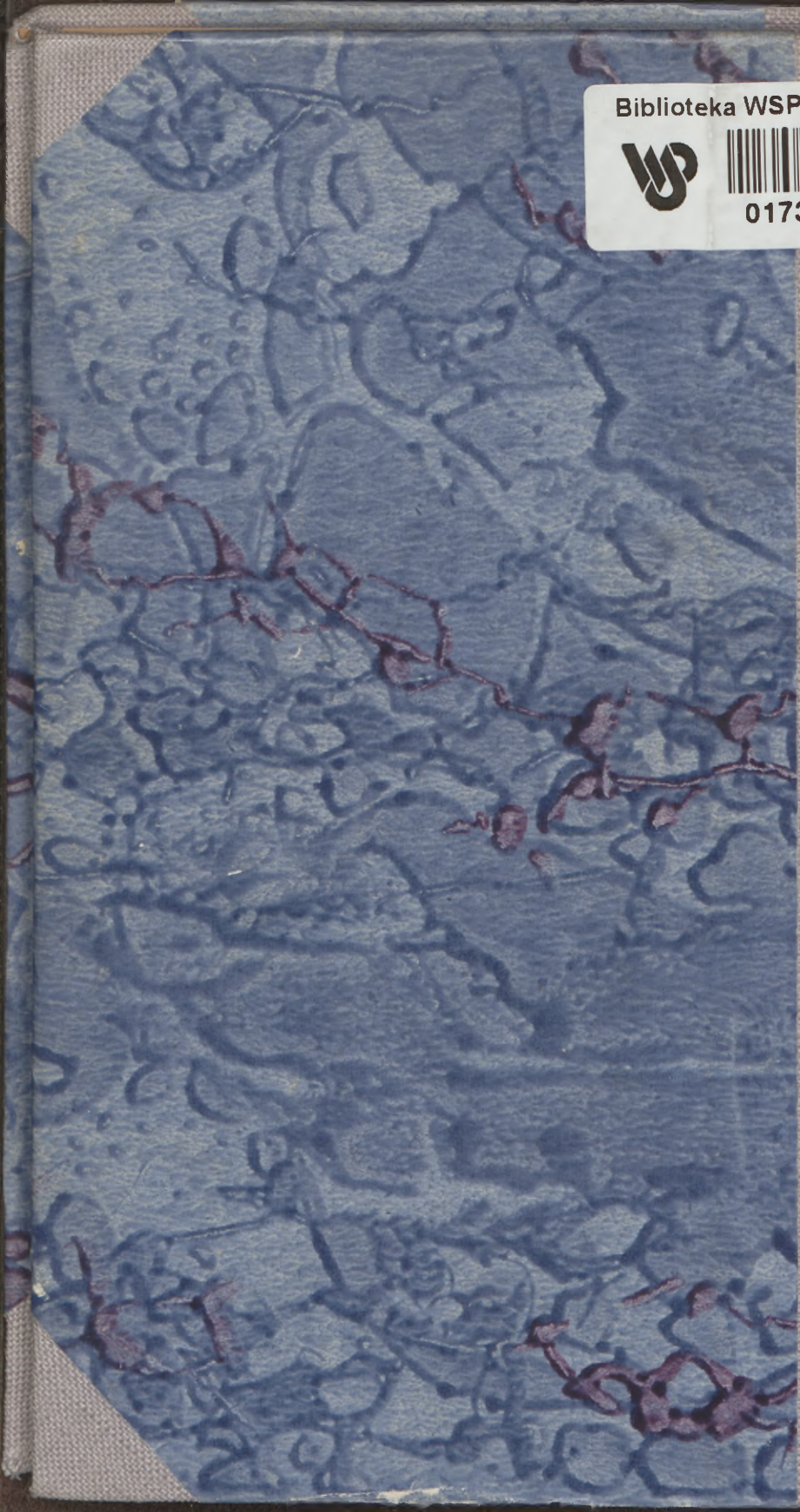

Biblioteka WSP Kielce
0173620